Nr 3 (1566). Warszawa, 21 stycznia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

O żelaznym wilku.

Trudno mieć za złe publicystom *Gazety Warszawskiej*, że tropią kierunki postępowe na całej przestrzeni świata, a zwłaszcza w Portugalji, która im dolega swoim „radykalizmem wolnomyślnym". Gorzej, że nietęgo się w rzeczach współczesnych orjentując, z właściwym sobie tupetem wypisują szpalty iście kołtuńskiej socjologji na temat radykalizmu i wolnej myśli; bowiem stan przeciętny naszej umysłowości jest tego rodzaju, że najpopularniejsze na Zachodzie kierunki i metody można ukazywać nad Wisłą w postaci żelaznego wilka, spowitego we mgły mniej lub więcej fantastycznych bajek.

A przecież radykalizm wolnomyślny to nie żadna formuła dogmatyczna, ani doktryna oderwana, lecz wyraz głęboki ducha współczesnej epoki, podobnie, jak racjonalizm był wyrazem XVIII-go, a liberalizm — XIX-go stulecia.

Polega on poprostu na przemianie metod liberalnych odpowiednio do potrzeb dzisiejszego życia i jego perspektyw rozwojowych. Nadto, opiera on gmach nowoczesnej kultury na gruncie postulatów ziemskich, doczesnych i pozytywnych, pozostawiając motywy wierzeniowe i mistyczne świadomości intymnej każdego człowieka.

Radykalizm wolnomyślny pragnie wyzwolić świat od przeżytków społecznych i myślowych, opóźniających jego rozwój; że zaś na miejsce tamtych, nie narzuca nowych bezwzględnych autorytetów, przeto ściągnął na siebie niechęć *Gazety Warszawskiej* i krytyczne komentarze różnych socjologów z zaścianka.

Śmieszny ferwor antypostępowy każe tym panom podnosić z uznaniem i respektem metody socjaldemokratycznych stronnictw skrajnych, „które z doktryny marksowskiej stworzyły sobie cały system dogmatów, które mają już swoją ortodoksyjną inkwizycję (sic!), swoich „świętych", swoich „bohaterów" i wyświecają kacerzów z własnego „kościoła"... [1]) Wolnomyślny radykalizm niczym podobnym nie może się poszczycić i to właśnie stanowi jego niższość, zdaniem bystrego publicysty *Gazety Warszawskiej*.

A przecież ci marksowscy dogmatycy z całym aparatem swej zachwalanej inkwizycji, swoich świętych, swoich kazuistów i egzegetów—dotąd siedzą pod obcasem pruskiego junkra, gdy radykalni wolnomyśliciele, zdaniem światłej *Gazety* — „ludzie, najgorzej przygotowani do sztuki rządzenia" umieli nadać ludzkości tempo wartkiego rozwoju i stoją na czele przodujących obecnie narodów.

Ale organ p. Dmowskiego ma im właśnie za złe, że tak skutecznie i wytrwale „niszczą" wszelkie zachowawcze zapory i „zwalczają wszelką tradycję, wszystko, co jest twórczością świadomą lub nieświadomą długich pokoleń historycznych".

Trzeźwy pogląd na życie przekonywa jednak, że najnieszczęśliwszymi są te właśnie narody, które wloką za sobą, jak nadmierny balast, ów długi ogon przeżytków, urządzeń i przywilejów średniowiecznych; i odwrotnie — najwięcej żywotnej potęgi i ochoczej energji ujawniają świeże społeczeństwa Nowego Świata, zarówno anglo-saskie w St. Zjednoczonych i Australji, jak łacińskie, w Ameryce Południowej, ponieważ rozpoczęły swój byt bez niepotrzebnego balastu; te zatem kraje, które z każdym

[1]) „Rządy wolnomyślicieli"—*Gazeta Warszawska* Nr. 15.

dniem dystansują starą Europę, są przejęte do rdzenia duchem współczesnego radykalizmu.

Publicyści *Gazety Warszawskiej* powinni nareszcie wyjaśnić tym ludom kwitnącym i szczęśliwym, że „światoburczy radykalizm" wiedzie ich prostą drogą do zguby...

* * *

Nasz konserwatywny i zaściankowy nacjonalizm patrzy na wszystkie młode republiki zupełnie jak ów szlagon safanduła z Psiej Wólki, co to nie może pozbyć się uprzedzoń do kolei żelaznych, burzących tradycję starodawnych bryczek, wasągów i landar. Nadomiar, nie pojmując ani ducha ani techniki współczesnego postępu, zaścianek wygłasza o nim sądy płytkie, jednostronne i krzywdzące. O przewrocie w Portugalji pisze *Gazeta* co następuje:

„Profesorowie, adwokaci, dziennikarze, którzy wywołali przy pomocy tajnych towarzystw „węglarzy" rewolucję w Lizbonie, sądzili, że wystarczy przemianować monarchję na rzeczpolitą i proklamować szereg praw wolnościowych, aby z gruntu przekształcić stosunki. W rzeczywistości nie uległy zmianie te klęski społeczne, które doprowadziły do zguby monarchję: ciemnota mas ludowych — kraj ma 80 proc. analfabetów — obojętność ich na sprawy publiczne, sprzedajność urzędników i uważanie skarbu państwa za dojną krowę. Rząd republikański, złożony z teoretyków rewolucji, wolnej myśli, praw ludu, wobec zagadnień praktycznych stanął zupełnie bezradny".

Krytyczny komentarz *Gazety* trafia „kulą w płot". Jeśli chodzi o metody społeczne radykalizmu, to odznacza się on właśnie dokładnym pojmowaniem wzajemnej i ścisłej zależności jednostki i środowiska — czym różni się dodatnio od liberalnej i socjalistycznej szkoły. Bowiem liberalizm daje wolnej jednostce zupełne *votum* zaufania i w jego pojęciu państwo nie może wykraczać poza funkcje „stróża nocnego"; z drugiej strony, socjalizm kładzie wyłączny nacisk na przeinaczenie kadrów społecznych, lekce sobie ważąc mozolne dzieło *reformy człowieka*; tutaj też kryje się źródło późniejszych rozczarowań i wstecznych nawrotów.

Radykalizm potrafił tego uniknąć. Wie on, że niedość doskonalić ustrój, trzeba jeszcze doskonalić człowieka i ta podwójna praca rozwojowa musi iść współrzędnie przez długi szereg pokoleń. Radykalizm nie ma złudzeń co do cudownych następstw reformy lub rewolucji społecznej, nie ma on też złudzeń co do zalet rozwojowych materjału ludzkiego, to też każe jednostce przejść przez mozolną szkołę cnót obywatelskich.

Do tej szkoły wprowadza on człowieka w całej nagości jego przywar, instynktów, słabostek, z wieloraką formą jego ducha zdolnego do wzlotów podniebnych i do upadków hańbiących, z jego prometeizmem i brzydotą, z jego tęsknotą do ideałów mistycznych i z jego nałogiem zwierzęcym, przekazanym od jaskiniowych przodków...

A zwłaszcza niepewnym, surowym i kruchym jest ów materjał ludzki w kraju, jak Portugalja, gdzie kilkaset lat trwające rządy autokratyczno-klerykalne obciążyły ducha zbiorowego grubą warstwą ciemnoty, apatji, zepsucia i zdziczenia. I nie mogło być mowy, żeby to wszystko zmienić w ciągu trzech miesięcy, od listopada do stycznia; przeciwnie, olbrzymiej energji, wielkim zaletom organizacyjnym i twórczym założycieli nowego ustroju zawdzięczać należy, że ten chaotyczny stos palnego materjału nie buchnął pożarem dzikiej, rozpętanej anarchji, że tam krzątają się, czyszczą, mierzą, budują ludzie niestrudzeni, których pomawia *Gazeta*, że „stanęli zupełnie bezradni".

* * *

A gdyby nawet ci ludzie nie podołali ogromowi zadania, gdyby pomimo iście herkulesowej pracy nie zdołali doprowadzić do ładu tej stajni wsteczno-klerykalnego Augiasza — to i wówczas nie wolno odmawiać im czci i uznania, nie wolno — zwłaszcza tu, na polskiej ziemi!

Bowiem niemasz nic bardziej na świecie wzniosłego, jak wytężona praca nielicznej elity oświeconej, rozumnej, ideowej, wśród pustyń biernego marazmu, znikczemnienia, ciemnoty i dzikości...

Jeśli publicyści *Gazety Warszawskiej* doszli już do tego stadjum znieczulenia, że nie dostrzegają tych

Leon Choromański.

SZKICE MIEJSKIE.

II.

W wielkiej kawiarni.

Małgorzata była jedną, a mężczyzn kilku. Proszono, by pokazała rękę. Ściągnęła nareszcie rękawiczkę i ukazała dłoń maleńką, zgrabną i wypielęgnowaną. Wtedy zrobiło się gwarnie i radośnie. Artyści powstali i powiewali kapeluszami. Zwracano się w ich stronę, uśmiechano się, pytano, o co chodzi. „Prosimy! prosimy!" — wołał aktor — „kto chce zobaczyć!" Tymczasem Małgorzata naciągała już zwolna rękawiczkę na podziwianą rękę. Jej usta jak zwykle były dziecinne i dumne, delikatny mech ocieniał górną wargę. Błękitne zimne oczy w pięknej oprawie patrzyły po zebranych „Ach, jak ja się nudzę" — mówiła. — „Jak mnie nic nie bawi". Kokietowała jednak młodych mężczyzn, otaczających ją kołem. Krzesło, na którym siedział jeden z nich, trącała lekko nogą, podczas gdy młody rozpustnik mierzył głąb jej chłodnych oczu chciwem spojrzeniem. Nareszcie musnął jej białą wysmukłą szyję trzymanym w dłoni kwiatem. Wtedy ona obruszyła się... „Za co mnie pan bierze?" Na twarzy artysty odbiło się dziecięce wzruszenie. „Przebacz mi pani — szepnął — ale tak trącałaś moje krzesło i szyję masz tak piękną, że nie mogłem wytrzymać". Uśmiechnęła się... „Boże, gdyby nareszcie wymyślić coś prawdziwie zabawnego". Aktor całował ją w łokieć, usunąwszy skraj rękawiczki. Prosił, by pozwoliła mu wejść pod stół i uklęknąć przed sobą. Widok zasłoni się od gości, a on wykona pewną rzecz, o której „nie można powiedzieć". Śmiała się bez gniewu, puszczając dym z papierosa. „Jakżebym chciał mieć twój profil w marmurze!" — jęknął

analogji, jakie bezprzecznie istnieją na dwu krańcach Europy — bo i my jesteśmy Portugalją — to zaiste możemy najgłębiej litować się nad niesłychanym upadkiem moralnym kierunku, co niegdyś miał ducha i serce, a dziś ma tylko żółć i śledzionę.

Leon Gorecki.

Nowy prąd ideologji narodowej.

Rozbrzmiewa w czasach ostatnich donośnie hasło politycznego neo-romantyzmu. W Galicji toczą się dyskusje na temat ideału niepodległościowego; dzieli się ludzi na zwolenników i wrogów Towarzystw strzeleckich; stwarza mniej lub więcej gruntowną literaturę o coraz bardziej groźnych... tytułach; organizują się wzajem poza tym dość sobie odległe grupy ideologiczne przy dźwiękach pobudki wojskowej.

Już dawno nie mieliśmy w Polsce tylu wspomnień świetnej przeszłości, tylu złudzeń, że „zaszumią znów skrzydła husarskie", nie słyszeli tylu zwichrzonych frazesów.

Nietylko roją się od nich pisma studenckie, ale i także niektóre z pism „dojrzalszych" chętnie leniwą krew odświeżające zapalnym rozmachem naszych młodych chorążych i naszych trębaczy.

T. zw. niepodległościowcy więc podbijają młodych z łatwością; życie wszak jest dość szare i nudne, aby nie można, aby nie trzeba go nawet zapełniać szczękiem rycerskiej broni i rytmem marsza.

Natomiast wolelibyśmy, by ze zdrowym ruchem odrodzenia życia naszych sfer akademickich i nieakademickich, nie łączyła się głośna, stanowczo za głośna wrzawa nowych haseł, nie odsądzała od czci i wiary wszystkich tych, którzy nie mniej gorąco kochając ideały narodowe i nie mniej będąc ich zwolennikami i żołnierzami, wątpliwości mogą mieć pewne co do sposobu jej realizacji, co do konieczności już teraz, wobec tylu jeszcze niespełnionych zadań pierwszorzędnej wagi — głoszenia efektownych haseł, tyle nadziei i pretensji, tyle namiętności i krwi budzących.

Chodzi o nic innego, jak o tę *jednostronność* specyficznie polską, o tę przesadę raz w jednym, to znowu w drugim kierunku, która cechuje wszystkie w kraju wysiłki i dążenia zbiorowe, zwłaszcza młode. Niepodległość zbrojną robi się dziś z całym rynsztunkiem publicystyki, broszurek, pism perjodycznych, nawet książek pseudo i naprawdę gruntownych, walczy się o nie z całym impetem nowych rzekomo wartości, w imię jej popełnia się wiele błędów i nietaktów, wszystko w myśl zasady, że trzeba pewne rzeczy *przeprzeć* siłą, gwałtem choćby na nie zwrócić uwagę, przeciwnika zgnębić przemijającą popularnością haseł. Pisma niepodległościowe, młodzieńcze i niemłodzieńcze roją się od zapewnień, że nastał już czas nowej konstrukcji ideałów niepodległościowych, że dotychczasowe partje narodowe i demokratyczne zaniedbały ich pielęgnowanie, do cna zatracając wszelką godność i szczerość stawiania kwestji w t. zw. pracy realnej, pozytywnej. Po latach więc tylu odżywa na nowo odwieczny spór o wartość haseł pozytywnych a romantycznych w działaniu społecznym. Hasła niepodległościowe operują przesłankami, dalekimi od konstrukcji pracy organicznej; owszem nasuwając szereg wspomnień, budząc tęsknotę za bezpośrednim czynem, za atmosferą, w której się wszystko wali i wszystko na nowo buduje, same stwarzają warunki ideologji romantycznej, apelującej do t. zw. „uczuć wezbranych, w duszy jednostkowej i społecznej.

I to jest najistotniejsze dla nowych haseł — owo postawienie problemu w Polsce starego a jednak wciąż newego. Jest niezmiernie ciekawym śledzić w kraju, w którym hasło roboty od podstaw wciąż nie spełnia się jeszcze w najważniejszych gałęziach kultury zbiorowej, jak efektownie głoszą bankructwo tych ideałów ci, którzy najwięcej właśnie winni realnie pracować. Formułka aż do znudzenia powtarzana, że w pewnych warunkach zewnętrznych nie da się poprostu pracować, formułka dla nas aż nadto dobrze zrozumiała, nie może uwalniać jednostek i stronnictw od wytrwałej, ciągłej, żmudnej roboty w kierunku dźwigania „cegła za cegłą", kultury społeczno-narodowej, jeśli nie mamy dojść do nihilizmu społecznego, zaprzeczającego wszelkim wartościom.

Zwracano już niejednokrotnie uwagę i to ze stron kompetentnych, na fakt, iż pozorów zewnętrznych rzekomo wybujałego rozwoju kulturalnego w Polsce, czy jej dzielnicach niektórych, nie można brać za jedyne kryterjum oceny.

Rzeczywiście, u szczytów mamy jednostki i grupy, mamy instytucje nawet, zasługujące w zupełności na to, aby zająć miejsce zaszczytne wśród kulturalnych dążeń Europy, jednakże chyba nigdzie na Zachodzie nie spotykamy tak zasadniczej sprzeczności między usiłowaniami ogółu a jednostek czy grup, jak w Polsce właśnie. Jedynie Poznańskie, ze wszystkich 3-ch dzielnic, Poznańskie, zostające pod wybitnym wpływem kultury niemieckiej stanowi w tej mierze

---

znów aktor. „Weźcie go odemnie, bo jest za nudny" — mówiła z dziecinnym grymasem. Oto niedaleko jest wolny stolik. Zwracam na to panu uwagę".— „Nie, nie Małgorzato, bądźże choć raz wzruszona. — „Na wzruszenia już zapóźno" — odparła. „Czy wie pani — mówił inny — jest mi dziwnie rozkosznie w tej atmosferze wyrafinowanej szczerości. Panny mieszczaństwa i finansiery są nudne straszliwie... Zapewne o tej porze leżą już pod kołdrą".—„Wy wszyscy drwicie ze mnie" — rzekła Małgorzata spokojnie. Nagle oburzyła się: „Jak pan śmiałeś przysłać mi swego przyjaciela o drugiej w nocy? — „Moja droga przyjaciółko, mówiłaś mu, że będzie wyrzucony za drzwi... — Nie chciał wierzyć i sam poszedł sprawdzić"...—„Ha! ha! ha! no i rozumie się: wyrzuciłam go". — „Tak, byłem tego pewny, tak, ale myśmy czekali na niego pod bramą ze dwie godziny i jakoś nie wychodził? — Ale nie przypuszczamy nic złego... Zapewne gawędził sobie przez ten czas z odźwiernym". Małgorzata zaczęła się śmiać. — „Doprawdy jesteście zabawni... Rozweseliliście mnie trochę"... — „Jak jabym pieścił tę kobietę — deklamował aktor. — „Już sobie upatrzyłem pewne miejsce, w którebym ją najpierw pocałował". Małgorzata znowu zrobiła oburzenie. „Czy nie zechciałby pan przesiąść się do innego stolika? Jest nas stanowczo za dużo... o jedną osobę". — „Ale to nie o mnie" — odparł aktor. Zresztą, nie udawaj pani skromnisi" — „Ja skromnisi?" Zadziwiła się: „Nigdybym nie zmieniła trybu życia... Raz nawet chciałam, ale ogarnęła mnie taka apatja"... Wszyscy zgodzili się skwapliwie, że jeśli kobietę w takich razach ogarnie apatja, to o cnocie nie może być mowy.

Tymczasem podeszła druga dama, niemal uosobienie tkliwej dziewczęcości. Oparła się na ramieniu młodego dramaturga i opowiadać poczęła miłym głosem, jaka to przykra spotkała ją przygoda. „Panów było dziesięciu, cztery aktorki i 6 *kobiet*". O nią pokłócono się. Wreszcie ciągnięto węzełki. Jeden z gości za pomocą sprytnej malwersacji wyciągnął ją. Wtedy wybuchło oburzenie i zabrał głos majestatyczny starzec: „Ponieważ kłócicie się, panowie, o pannę Mimi, najlepiej byłoby, aby pojechała sobie do domu.

wyjątek i uderza zgodnością powszechną dążeń i wysiłków narodowych a to dlatego, że poziom ogólny jest tam na razie niższy zwłaszcza w sferze życia kulturalnego. Poza tym Galicja i Królestwo są terenem, gdzie z jednej strony spotykamy się z niezwykle bujnymi usiłowaniami jednostek i grup odosobnionych na polu kultury i czynu społecznego a z drugiej z bezwzględną obojętnością ogółu, t. j. nietylko szerokich mas ludowych ale i mas inteligencji. Jest publiczną tajemnicą, zwłaszcza w Galicji, że szereg stowarzyszeń oświatowych, kulturalnych kół, instytucji gospodarczych, szereg redakcji, organizacji partyjnych, etc. etc., istnienie swe, czasem nawet rozwój zawdzięcza energji wyjątkowej ofiarności jednego, najwyżej kilku ludzi, którzy pracują za dziesiątki i setki.

Ogół inteligencji choćby, która powinna się grupować w takich placówkach publicznych, zachowuje się w najlepszym razie biernie i obojętnie, nierzadko z najrozmaitszych powodów wprost wrogo.

Nie inaczej w wielu względach ma się rzecz wśród sfer włościańskich. Ruch współdzielczy np., przeważnie dzięki *jednostkom* tej miary, co poseł Stefczyk i inni, niewątpliwe kroki rozwojowe czyni naprzód, i tu, z zawodowych ulepszeń szkół rolniczych, stacji doświadczalnych, z kół T. S. L. i kółek rolniczych, z kooperacji wytwórczej i handlowej korzysta mniejszość jedynie, większość zaś, jak za dawnych dobrych czasów żyje i gospodaruje, nie pomnąc, że drobienie własności ziemskiej, do absurdu wprost dochodzące, zmieniło warunki zewnętrzne do głębi.

Napomknęliśmy o tym, aby dać wyraz rozbieżności, jaka istnieje u nas między tym, co się robi u góry, a tym, czym żyje ogół. Zwłaszcza w sferze t. zw. inteligencji często dochodzi się do wniosków optymistycznych zbytnio w ocenie ogólnej „bilansu narodowego", biorąc za punkt wyjścia parę „kwitnących" dobrze prowadzonych placówek kulturalnych, literackich i naukowych i zapominając o tym, że pod tą zewnętrzną zgoła pokrywą przewala się życie mas całych, zaprzeczające swym stopniem rozwoju wszelkiej możliwości rzetelnego postępu. Skąd inąd Poznańskie właśnie, może być dla nas przykładem w tym względzie: powstają tam te jedynie placówki publiczne, które są trwałe i *powszechne*. Jest ich oczywiście mniej znacznie, niż w innych zaborach, ale te, co są (przeważnie ekonomiczne), rozwijają się świetnie, właśnie dla powszechności potrzeb, które zaspakajają.

Hasła więc organicznej roboty od podstaw są jeszcze i będą długo w Polsce *niespełnione* zgoła, — więc wiecznie świeże i ożywcze, wszelki zaś spór o pierwszeństwo przesłanek ideologicznych pozytywnych, czy „romantycznych", (do bezpośredniego czynu wiodących), — mniej lub więcej jałowy. Natomiast zwrócenie wszystkich sił i zasobów ku realizacji ideałów, głoszących radykalną reformę Czynu bezpośredniego, może nam wiele szkody istotnej wyrządzać, może zatracić dla nieskończenie dalekich, szereg blizkich, stających się wciąż możności. Młodzież zwłaszcza ulegnie aż nadto chętnie urokowi budowania zamków na lodzie, urokowi wielce skomplikowanych zadzierzgnięć dyplomatycznych, które wyrosły w ich głowach i główkach do nieprawdopodobnych rozmiarów. Uczuwać, to zaczynamy — już na gruncie galicyjskim, gdzie powstają kombinacje zupełnie chybione na temat nawrotu do dawnych ideałów; [1]) mistycyzm płytki i śmieszny, łączy się z jakimś niezrozumiałym narowem militarnym; typ życiowego niedołęgi miesza się z nagłym przypływem energji, wyładowywującej się w mustrze wojskowej. Przestrzec więc trzeba jak najbardziej stanowczo przed „wybujaniem *romantyzmu*" u nas w pojęciu roboty społecznej, przed opuszczeniem placówek już zdobytych i ich omijaniem ciągłym dla miraży, jeszcze nie uświadomionych należycie nawet w głowach twórców „nowego" kierunku. Nie przeczymy, że codzienna, żmudna robota u podstaw może w reakcji nasunąć tęsknotę jakiejś *syntezy* narodowej, która często nieświadomie przejawia się nam w formie *bezpośrednich* wysiłków, nie przeczymy bynajmniej też niewątpliwej wartości życia wojskowego, ćwiczeniem fizycznym zaprawionego, owszem zwłaszcza w Galicji wobec karlenia młodzieży uważamy ten moment za korzystny, jednakże nasuwają się nam poważne wątpliwości, czy podkreślenie jaskrawe haseł „niepodległościowych" w tej formie, w jakiej się one dziś przejawiają, sprawie polskiej istotne odda usługi i czy raczej nie przyczyni się do dezorjentacji naszego życia.

A tymczasem na wszelkich polach kultury narodowej ogrom pracy czeka ludzi chętnych i dobrej woli; nie czas ich dziś jeszcze odwodzić od niej buńczucznym wołaniem.

Dalecy bowiem jesteśmy o morze całe tej chwili, w której o sobie powiedzieć moglibyśmy bez zastrze-

[1]) Pisano o tym szerzej w „Widnokręgach". Zeszyt 20.

Ona jednak nie powinna na tem ucierpieć. Proponuję składkę, po trzy ruble od głowy"... „Gdy zaczęli zbierać ruble, uciekłam, ale ktoś na korytarzu mnie dopędził i włożył pieniądze do torebki. Dotąd ze wstydu bije mi serce"...

— Więc pani utrzymuje, panno Małgorzato, że nasz kolega X. nie ma talentu? Słuchajcie! Pięknie go scharakteryzowała. Mówi że w utworach X. są tylko *pozory* życia"—„Swą pięknie wydaną książką — mówiła Małgorzata spokojnie, ten pan zabił się w moich oczach, Przestał mnie interesować. Jest banalny". — „Kiedy wydam swoją książkę zadedykuję ją pani. Bezwarunkowo. I poproszę o sąd". — Dobrze, mam trochę doświadczenia". „A czy pogardza pani mężczyznami?" „Tak, ale niektórzy interesują mnie jeszcze"... — „Ale na krótko? — „Nie, niektórzy nawet na długo". — „A prócz tego?" —„Prócz tego.. kawa, likier, wódka... Piję dużo"... „A komu odda pani swe serce? Małgorzata spojrzała posępnie: „Ach panie, — rzekła, jakby nie odpowiadając na pytanie— ja nie jestem szczęśliwa. A ciszej, zwracając się jakoby tylko do jednego dodała: „Chciałabym, aby mnie kto zabił".

Młody dramaturg siedział obok Mimi i szeptali. „Jak oni podobni do siebie — rzekł malarz Y. — jak brat i siostra". — „Byłbym dumnym — rzekł dramaturg — gdybym miał taką siostrę". Uszczęśliwiona Mimi zarumieniła się...

— Jak ja się nudzę!—Krzyknęła Małgorzata, zapalając gwałtownie nowego papierosa. — Dlaczego wy wszyscy jesteście tak banalni.

Oburzono się... Oczywiście pani nas niedocenia. A jednak Muzy nas kochają! Pani jest bez serca „tak, tak — jestem bez serca". „Trzeba mieć serce, żyć sercem, patrzeć w serce".. bełkotał pijany już aktor... — Pani jest dziwnie chłodna — mówił malarz. I czego ty chcesz kobieto — krzyknął aktor — jakimi drogami idziesz do szczęścia? Bo pragniesz szczęścia, nieprawdaż? — „Nie jestem szczęśliwa" — odparła Małgorzata chmurnie.

Powstała i rzekła:

„Do widzenia, panowie. Wyjeżdżam jutro... Nie wrócę tu prędzej, jak za trzy lata. Ale, kiedy powrócę, z pewnością będę już taka, że nie będziecie chcieli mnie znać"...

żeń, że „niepodległość ducha" została już na ziemiach polskich zrealizowaną, ta niepodległość *wewnętrzna*, która poprzedzać musi wszelką *zewnętrzną*, aby ostatnia była trwałą i *istotną*.

Lwów. *D-r Leon Biegeleisen.*

Związki zawodowe, a partje polityczne i tendencje syndykalne.

(Dokończenie).

Czymże się właściwie różnią dwie tendencje syndykalne, nie pod względem idei, od których pośrednio pochodzą, nie pod względem przekonań, jakie ich adepci wyznają poza obrębem związków — lecz w samym życiu związkowym?

Bezpośrednie korzyści lub straty, jakie przynosi strejk, mało obchodzą syndykalistów rewolucyjnych. Dla nich strejki są to manewra proletarjatu w przygotowaniu do wielkiej walki, jaką mu wypadnie stoczyć z jego nieubłaganym wrogiem, kapitalistą. W gruncie rzeczy wszystkie środki są dozwolone w walce z tym wrogiem, a wszelkie umowy, jakie się z nim zawiera, robi się jedynie poto, aby je zerwać w chwili najmniej spodziewanej i najdokuczliwszej dla nieprzyjaciela. Wynik tego — nieuznawanie żadnych umów zbiorowych, żadnych sądów rozjemczych, wynika też używanie takich środków, jak słynna „akcja bezpośrednia", pod którą niekiedy ukrywają się zwykłe zbrodnie i „sabotaż", rozmyślnie złe wykonywanie pracy.

Dla syndykalistów reformistycznych zaś strejk ma właśnie jedynie i wyłącznie znaczenie ze względu na bezpośrednie korzyści, jakie daje. Przyczem strejk uważany jest za ostateczność, której należy się imać dopiero po wyczerpaniu wszystkich pokojowych środków załatwienia sporu. Do tych pokojowych środków, jak umowy zbiorowe, sądy rozjemcze, nie mają oni żadnych uprzedzeń, ani też nie przystępują do nich ze złą wiarą, z myślą wciągnięcia nieprzyjaciela w zasadzkę. Wykonywują uczciwie wszystkie zobowiązania z nich wypływające. Takie stanowisko wynika z przeświadczenia, że usunięcie kapitalizmu nie może być dokonane przez walkę zbrojną lub strejkową, lecz przez wyższość kulturalną proletarjatu. Ta wyższość kulturalna urzeczywistnia się w nowych instytucjach społecznych, opartych na nowych niekapitalistycznych zasadach. Te nowe instytucje usuwają kapitalizm, bo go zastępują i wprowadzają nowy ustrój gospodarczy, który można nazwać iksem, socjalizmem, solidaryzmem, kooperatyzmem, jak kto chce, nie chodzi bowiem o nazwę, lecz o fakt tworzenia się nowych instytucji *ekonomicznie* demokratycznych. Takiemi nowymi instytucjami, całkowicie przekształcającymi dzisiejszą gospodarkę, są kooperatywy spożywcze (z produkcją od nich uzależnioną), które można zakładać wszędzie i przedsiębiorstwa państwowe, prowincjonalne municypalne, które stają się czynnikiem nowego porządku rzeczy tylko tam, gdzie jest wolność polityczna. Związek zawodowy, w tym procesie przekształcania się ustroju społecznego, ma zadania ważne, ale nie pierwszorzędne. Związek zawodowy nawet przekształcony w kooperatywę wytwórczą jeszcze nie zmienia podstaw współczesnej gospodarki. Próby wysunięcia związku zawodowego na pierwszy plan, jako czynnika całkowitego przekształcenia społecznego, nie mogły się udać, gdyż niemożliwym jest taki zanik podziału pracy, aby jedni i ci sami ludzie wyznaczali sobie pracę i wykonywali ją. Podobnego połączenia funkcji nie znosi współczesna a tym bardziej nie zniesie przyszła gospodarka. Wobec tego zadania związku zawodowego sprowadzają się do wytworzenia organizacji najemników, równorzędnej i równouprawnionej z organizacją najmujących, a kto jest najmującym prywatny kapitalista, państwo, gmina, czy kooperatywa spożywcza — to dla związku zawodowego, jako takiego, jast obojętne. Jego żądania i jego zasadniczy postulat konstytucjonalizmu fabrycznego nie zmienia się wskutek tego. Konstytucyjną może być tak samo fabryka prywatna, jak państwowa, gminna, lub założona przez hurtownię kooperatyw spożywczych.

Słowem — syndyk. rewolucyjni sprowadzają wszystko do strejku, synd. reformistyczni — oprócz strejku — widzą jeszcze bardzo wiele innych środków załatwiania sporów pracy i patronatu.

Jest jeszcze i inna różnica. Syndykaliści rewolucyjni zwalczają wszelką państwowość, nawet najdemokratyczniejszą. W ciężkich chwilach, podczas choroby, kalectwa, bezrobocia, starości — ich zdaniem — przychodzić z pomocą powinno samorzutnie przejawiające się uczucie braterstwa, nie żadne biurokratyczne instytucje. Wynika z tego, że składki w syndykatach rewolucyjnych idą jedynie i wyłącznie na strejki. Syndykaliści reformistyczni nie wierzą w upadek państwa, nie myślą go zwalniać od obowiązku przychodzenia z pomocą tym, którzy sobie sami poradzić nie mogą, lecz — o ile chodzi o najemników — żądają głosu w sprawie rozdziału wsparć, a żądają tym tym śmielej, że mają za sobą długoletnią praktykę we własnych instytucjach samopomocy, połączonych ze związkami Wszystkie postacie ubezpieczeń robotniczych związki zawodowe wprowadziły w życie daleko dawniej, niż państwo. Skoro teraz państwo chce to robić, niechaj nie robi samo, lecz za pośrednictwem związków. Państwo niechaj dostarcza pieniędzy i najwyżej kontroluje wydatki. Resztę zrobią związki.

Jak widzimy, teoretyczne różnice tych dwóch odmian syndykalizmu są zasadnicze. Na szczęście, życie przechodząc ponad logiką, zmusza rewolucjonistów do postępowania w sposób reformistyczny, co jednakże nie wszędzie jeszcze się dzieje.

Lecz i wśród syndykalistów reformistycznych są różnice, które wynikają, jak powiedziałem, nie z różnicy poglądów na samą akcję, lecz na jej motywy. Narodom trzeźwym, jak Anglicy, cała ta scholastyka nigdy przez głowę nie mogła przejść i z chwilą uznania potrzeby jednakowego działania nikt się nie zastanawiał nad różnicą motywów, z jakich ta jednakowa akcja może wynikać. Jak powiedziałem, wszyscy syndykaliści reformistyczni uważają strejk za ostateczność, uznają umowy zbiorowe i sądy rozjemcze, wprowadzają do związków samopomoc. Pod tym względem niema różnic. Ale — i tu się zaczyna scholastyka, trącąca najodleglejszymi wspomnieniami kłótni sekciarskich — powstają pytania: czy umowa zbiorowa i sąd rozjemczy są udoskonaloną metodą walki klas, czy też przejawem, zaciemnienia świadomości klasowej na korzyść solidarności ogólno—społecznej? Czy samopomoc w związkach zawodowych jest zwiększaniem sił proletarjatu, czy też objawem humanitaryzmu? Czy związek zawodowy ma stać, czy nie ma stać na gruncie walki klas?

Na wszystkie te pytania właściwie należałoby machnąć ręką, roześmiać się i odpowiedzieć. „Czy warto o tem myśleć, skoro zgadzamy się na jednakową działalność?".

I gdybyśmy nie mieli do czynienia z ludźmi, myślącymi teologicznie, odpowiedź ta wystarczyłaby.

Niestety tak nie jest. Tego rodzaju kwestje dzielą pomiędzy sobą związki, które zkądinąd niczem się nie różnią. Przystosowując się więc do teologicznego sposobu myślenia, należy odpowiedzieć na te pytania.

Umowy zbiorowe są udoskonaloną metodą walki klas, gdyż 1-o słaby proletarjat nie może się umawiać, a musi słuchać 2-u umowa częściowo narzuca wolę najemników najmującemu i ogranicza jego władzę 3-o daje większe zyski, niż strejk.

Umowy zbiorowe zaciemniają świadomość klasową, gdyż ją rozszerzają. Najemnicy, aby zrozumieć argumenty najmujących muszą umieć się postawić na ich miejscu, poznać warunki handlowe produkcji, ceny, rynki zbytu, słowem muszą się nauczać tego, co umie najmujący.

Samopomoc jest tak dobre akcją proletarjacką, jak humanitarną, gdyż proletarjusz jest człowiekiem.

Związki zawodowe mają stać na gruncie walki klas, gdyż mają bronić interesów ekonomicznych najemnika i nie mają stać na tym gruncie, gdyż aby ich bronić skutecznie muszą rozumieć, że klasy nie zawsze walczą ze sobą, lecz często i współdziałają. O ile tego nie zrozumieją, to wyrządzając krzywdę przeciwnikowi — sobie wyrządzą dziesięć razy gorszą.

Wierzyć się poprostu nie chce, że XX-ym wieku tego rodzaju metafizyka może dzielić ludzi w działaniu i przeszkadzać ich jednolitej akcji,

Jerzy Kurnatowski.

„Lutosławskjada".

Przez słowo, wyrażone w tytule, pojmujemy jedną z bieżących postaci polskiego dekadentyzmu, zasługującą na oświetlenie. Jeżeli użyliśmy nazwiska p. Lutosławskiego (Wincentego) dla ukucia tego terminu, to nie przeto, by inwiduum p. Lutosławskiego było jedynym siewcą, początkiem, końcem i twórcą tego dekadentyzmu, tylko dlatego, że ekspansja chorobliwa tego psychopaty przy bezkarnych chuciach geszefciarskich rozmaitych jego impresarjów, wyzutych z wszelkiego poczucia odpowiedzialnosci moralnej, powoduje nieustanne wplatanie się nazwiska tego w smutne nad wyraz dzieje naszej umysłowości. Nie pan Lutosławski jest założycielem tego dekadentyzmu, lecz smutne dzieje narodu, ale p. Lutosławski, sam będąc dzieckiem tego dekadentyzmu, przez swoje szwendanie się i hałas, jaki wkoło siebie podnosi, nadał mu swą jakby etykietę i firmę i jest jakby jego teoretykiem i apologetą. Dalecy jesteśmy od ośmieszania się krytyką p. Lutosławskiego raz dlatego, że mała jego osoba wprost niknie wobec rozmiarów tego nieszczęścia, wysuwającego się na pierwszy plan. Innym powodem wstrzymania się od krytyki p. Lutosławskiego jest to, że racja bytu krytyki ustaje tam, gdzie krytyk, chcąc być zupełnym, musi przybierać postać psychjatry. Z tego powodu p. Lutosławski znajduje się poza nawiasem krytyki.

Gdyby p. Lutosławski żył i działał w społeczeństwie zdrowym, zrównoważonym, odpornym przez wysoki poziom wiedzy i krytycyzmu, można byłoby przemilczeć i zbagatelizować to wszystko, co robi on i głosi, zwłaszcza, że żadne „oddychanie", prócz słabego nikomu nigdy nie zaszkodzi, a izolowanie w klasztorze garstki narwanych półgłówków z piątą wstrzemięźliwością od zdrowego rozsądku, z nacjonalizującą „regułą klasztorną", jest w najgorszym razie nieszkodliwym dziwactwem. Niemniej racjonalne szafowanie „praną", dla zbawienia Ojczyzny, a pośrednio ludzkości, ani na jotę nie jest groźniejszym, ani kosztowniejszym, od wjeżdżania przez imaginacje na koronacje, które znalazłoby adeptów pośród swoich i obcych „Psunabudesów".

Bezpośredni wynik naiwnych i dziecinnych recept p. Lutosławskiego, podawanych z mocnym przekonaniem, natarczywością i fanatyzmem chorego manjaka: nie jest rzeczą groźną. Polska roi się od ludzi, którym problemat zbawienia ojczyzny zwichnął rozum. Niebywała dysproporcja pomiędzy zawiłością i wielkością zadania, a nikłością rozporządzalnych wykonawczych środków, zakrawającą na demoniczne szyderstwo, tylko najtęższe duchy i umysły oszczędzi. Nawet wybitne umysły opanowywa chwilami rozpaczliwe zwątpienie.

Katerla, zapuściwszy sondę w zgangrenowane trzewia narodu, już tylko w egzotycznym i excentrycznym wynalazku widział wyjście z karygodnego położenia. Na ziemiach polskich i na wychodźtwie polskim, całymi tuzinami, zwłaszcza pośród starszej generacji, spotyka się osobliwych socjologów.

Według teorji jednego, Polska upadła z powodu wadliwego budowania domów, i zaleca on reformę architektury, która niechybnie sprowadzi odbudowanie ojczyzny. Inny, bolejąc niewymownie, że wszystkie stany w Polsce z największym indyferentyzmem zachowują się wobec problematu wskrzeszenia ojczyzny, obmyślił podczas nocy bezsennych taki system zakładania fabryk, przy którym pracownicy, sami nie wiedząc o tym, musieliby dla zbawienia tej Ojczyzny anonimowo działać.

Można by dalej mnożyć te przykłady, ze smutnej rzeczywistości zaczerpnięte; nie jeden z nich jak smutna anegdota z napastniczą furją wymusza nieraz zgwałcony irytujący śmiech dla łez.

Do tego smutnego zespołu kalek, na poły smutnych, na poły pociesznych, dołącza się p. L-ki, ze swą „kuźnicą" i „praną". Chcemy wierzyć, że konflikt pomiędzy szlachetniejszymi aspiracjami, a odbiegającą od nich rzeczywistością, załamał p. L-skiemu jego linję społecznego myślenia i strącił go do roli nieświadomego ogłupiacza społecznego sumienia.

Ale jeżeli kalectwo pod postacią „idée fixe" zdejmuje odpowiedzialność z osoby p. L-skiego, to nie można tego powiedzieć o zdrowych sekundantach i impresarjach p. L-go. Jak już wzmiankowaliśmy, bezpośredni wynik recept p. L-go nie jest groźnym. Lecz zachodzi cały szereg okoliczności, które propagandzie p. L-go i pokrewnych jemu kierunków, nadają znamiona poważnej klęski. Poza tymi receptami istnieje uzasadniający je światopogląd, pewna metoda myślenia, która przemycana obok recept, przesącza się i ukradkiem i głównymi drzwiami w mózgi, szerząc umysłową demoralizację. Wobec tego, że umysłowość dla człowieka jest najważniejszym narzędziem w walce o byt, okaleczenie tego organu staje się nieobliczalną klęską, koło której nie wolno przechodzić obojętnie.

Nieszczęście chciało, że p. L. uległ obłędowi nie w kolebce, lecz w późniejszym wieku, kiedy już zdążył pozyskać spory zasób wykształcenia, wiadomości i oczytania. Ta okoliczność nadaje mu pewną przewagę nad jego słuchaczami o zdrowych zmysłach, lecz dużo mniej wykształconymi, którzy nie wiedzą i nie przeczuwają, że obłąkańcy nigdy nie są w obłędzie w przeciągu 24 godzin na dobę i nie są obłąkańcami we wszystkich dziedzinach myślenia i czucia, a tylko w dziedzinie niektórych zogniskowań myślowo-czuciowych i w dziedzinach skojarzonych z tymi.

Oprócz tego nizkiego poziomu wykształcenia, naiwności i niewyrobienia umysłowego ogółu polskiego, dobrym przewodnikiem propagandy p. L. jest wrodzona Polakom skłoność do leniwego mistycznego pojmowania zjawisk, co obok tego jest jeszcze reakcją psychologiczną tych wszystkich słabych, zrozpaczonych i udręczonych, którzy w łatwy sposób w mistycyzmie poszukują zaspokojenia swych tęsknot, nie zdoławszy dla nich pozyskać zaspokojenia w ponurej rzeczywistości. Do tego wszystkiego dołączają się geszefciarskie rachuby wydawców, którzy z trzeźwą rozwagą posługują się nim, jak cielęciem o dwuch głowach, ażeby, doprowadziwszy tą drogą gapiów do osowienia, wypróżnić im kieszenie. To też, gdy wydawcy elaboratami p. L-go epidemicznie szerzą rodzaj myślowej krwawej biegunki, pożyteczne i niezbędne opracowania naukowe butwieć muszą w rękopisach, po szufladach, lub dławione są w zarodku niemożnością ich publikowania. Jest to jedna z wielu postaci i środków, jakimi naród dokonywa nad sobą operacji sa-

mobójstwa. Losy kultury umysłowej narodu oddane na pastwę łaski i niełaski lichwiarskiego rozpasania, nieuctwa i barbarzyństwa wydawców, znajdują się na pochyłości, zapowiadającej jedynie coraz nowe spustoszenie.

(d. n.). *Szpon.*

Walka z drożyzną.

Na ten, niezmiernie żywotny, temat miał odczyt w towarzystwie prawniczem p. Stanisław Kempner. Niestety — zdolny ten ekonomista, od jakichś dwuch lat zeszedł ze stanowiska reformistycznego, które bardzo wyraźnie zaznaczył w czasie ruchu wolnościowego i cofa się coraz bardziej ku ortodoksyjnemu marxizmowi. Dla tego wywody p. Kempnera były nacechowane całą fatalistyczną „beznadziejnością", jaka charakteryzuje świeżo przez niego obrany kierunek.

Oto w kilku słowach teza p. Kempnera:

Trzeba zbierać statystykę cen, bo ją zbierają za granicą, lecz nie sądźmy, aby dokładne dane statystyczne dopomogły nam w walce z drożyzną. Wszak zagranicą mają cudowne statystyki, a mimo to walczyć z drożyzną nie umieją. Drożyzna jest rezultatem żywiołowego procesu, który tylko żywiołowo może być usunięty. Rozwój drożyzny jest niejednakowy: o ile ceny produktów rolnych stale idą w górę, o tyle ceny produktów fabrycznych zniżają się. Przykład, oczywiście: Niemcy. Wniosek: uspołecznienie ziemi. Wprawdzie niejakim paliatywem na drożyznę jest wolny handel, lecz polityka wolnohandlowa była możliwa tylko dopóty, dopóki istniała przeciwstawność interesów burżuazji przemysłowej i rolnej. Dzisiaj ta przeciwstawność nie istnieje, protekcjonizm wszechwładnie zapanował prawie wszędzie i dlatego nawet ten środek zastosowanym być nie może. Sytuacja jest „beznadziejna", a więc zbierajmy statystykę i (tego p. Kempner nie powiedział, lecz to wyrażenie wynika z jego przesłanek) czekajmy na mistyczny dzień uspołecznienia przynajmniej powierzchni ziemi.

Tyle p. Kempner.

Co do słuchaczy — to ci nabrali niezawodnie ostatecznego wstrętu do zbierania statystyki, skoro ma ona być jedynie bezcelowym naśladownictwem „dziwnych" zwyczajów zagranicznych.

W dyskusji atoli zwrócono uwagę p. Kempnerowi, że — gdyby zamiast Niemiec wziął Rosję — to doszedłby do odwrotnego wniosku: tutaj ceny produktów rolnych spadają, ceny zaś produktów fabrycznych idą w górę. Co do uspołecznienia ziemi, to pomimo całej sympatji dla Henry George'a, Wallace'a i innych — należy je uważać za jedną z najdalszych utopji, dla prostej przyczyny, że w miarę uprzemysłowienia różnych krajów w własności rolnej odbywa się kolosalnie szybki proces decentralizacji. Nawet socjaliści europejscy zarzucili już dziś zupełnie myśl przymusowego wywłaszczania wielo-miljonowej i wciąż wzrastającej masy drobnych właścicieli ziemskich. Naturae imperatur, nisi parendo: gdyby nawet uspołecznienie ziemi było najidealniejszym środkiem do walki z drożyzną, to niepodobna go zalecać, skoro nie można go zastosować.

Zupełnie co innego jest *zniesienie ceł.* Ostatecznie — wbrew całej teorji zupełnej identyczności interesów kapitału rolnego i przemysłowego — znaczna część przemysłowców niemieckich należy do partji wolnomyślnej, żądającej zniesienia ceł, a nie brak również miljonerów (od Bebla zaczynając) i w niemieckiej socjal-demokracji, którzy właśnie dla tego dla tego do niej należą, że ta partja coraz bardziej zapomina o „uspołecznieniu środków produkcji", a coraz więcej pamięta o wolności handlu (t. j. o zniesieniu ceł) i o wolności politycznej. Zresztą — nie można przecież robić ogólnych teorji na podstawie niemieckich tylko stosunków. W Anglji, Danji, Szwajcarji przemysłowcy nie przestali być wolno-handlowcami i nie pozwolili na wprowadzenie ceł. Proletarjat tych krajów jest również zwolennikiem wolnego handlu.

Dalej istnieje cały szereg nowożytnych *reformistycznych* środków walki z drożyzną, znanych, zalecanych i stosowanych przez socjalistów *europejskich.* P. Kempner ortodoksyjny-marxista już nie pamięta tego, czego nauczał i czym się interesował p. Kempner reformista. Dopomóżmy więc jego pamięci, nie wchodząc — oczywiście — w szczegóły, na które tu brak miejsca:

1-o *Przedsiębiorczość państwowa.* Nawet Prusy, kiedy kartel węglowy wyśrubował do niemożliwości cenę węgla, zdobyły się na zakup dwuch kopalń, z których zaczęły sprzedawać węgiel taniej, przez co zniżyły wogóle jego cenę. Dla państw demokratycznych otwiera się tu ogromne pole działania.

2-o *Przedsiębiorczość prowincjonalna, municypalna i gminna,* przy autonomji i samorządzie tych jednostek politycznych, naturalnie. Odsyłam ciekawych do „Annales de la régie directe" p. Edgara Milhaud (genewski miesięcznik). Dzisiaj polityka municypalna nie ogranicza się już bynajmniej tramwajami, oświetleniem, kanalizacją. i t. p. Są miasta, które mają swoje piekarnie, swoje młyny, browary i t. d., a mają nie drogą żadnej ekspropriacji, a poprostu wybudowały sobie nowe. Oczywista rzecz, że miasto—przedsiębiorca drogą prostej konkurencji reguluje samo ceny produktów; tak jak miasto — kamienicznik reguluje ceny lokali. Berlin zamierza sobie nawet kupić wielkie dobra ziemskie, aby mieć tanie mięso i zaszachować zupełnie pruską politykę celną...

U nas, dopóki niema ani parlamentu, ani autonomji, ani samorządu — oczywiście nie może być mowy o stosowaniu wszystkich tych środków.

Ale kooperatywa spożywcza jest już dziś dla nas dostępna. Wszędzie, gdzie tylko jest nie tyle może „uświadomiony", ile naprawdę rozumny proletarjat, ruch kooperatyw spożywczych szalenie wzmaga się właśnie w chwilach zniżki płac zarobnych lub zwyżki cen produktów, wogóle w chwilach kurczenia się budżetu robotniczego. Tak się stało nietylko w Anglji, lecz i w Niemczech, od których przestańmyż raz przejmować jedynie nonsensy. W. F. Totomianc, w swej pracy „Potrebitelnyja obszczestwa", wydanie 2-ie, str. 225 (boję się cytować francuskie źródła, bo choć cały świat podziwia francuską naukę, myśmy nie wyrośli jeszcze z tradycyjnego poglądu o „lekkomyślności" francuskiej; nic dziwnego: każdy sądzi innych po sobie) stwierdza, że w r. 1901-ym, który właśnie był w Niemczech takim rokiem dotkliwego skurczenia się budżetu robotniczego, kooperatywa spożywcza „silnie wzrosła", czego dowodzi cyframi.

A „garden-city", jako środek walki z drożyzną mieszkań i nawet wogóle z drożyzną tenuty dzierżawnej? Mamy doskonałe prace p. Dobrzyńskiego o miastach przyszłości i o miastach—ogrodach w Anglji. Mieliśmy również niezmiernie pouczającą wystawę miast—ogrodów w Bagateli. System „gardencity", wszak również może być stosowany bez pomocy organów politycznych, również jest skuteczny i również wypróbowany?

Czemuż o tych wszystkich rzeczach nie mówił p. Kempner? Dzieje się krzywda społeczna, że tak zdolny człowiek ugrzązł na jałowych mieliznach dziejowego fatalizmu i — wraz z swoimi nowymi współidejowcami — czeka, aż nastanie „wielki dzień", zamiast pchać życie naprzód codzień. Jeżeli na wielki ów dzień nie złożą się właśnie takie małe dni, to go wcale nie będzie.

J. K.

BADANIA NAUKOWE.

Miłość płciowa i rodzicielska w przyrodzie.

(Studjum socjologiczne).

III.

Instynkt zachowania gatunku nie zadawala się powołaniem do życia żądzy płciowej, która sama nie wystarcza do utrwalenia gatunku pod postacią potomstwa a tylko zabezpiecza jego pojawienie się.

Dla utrwalenia gatunku pod postacią potomstwa daleko ważniejszą okazuje się miłość rodzicielska, której intensywność zawisła od szeregu warunków życiowych, zasługujących na rozpatrzenie. Warunki te normują takie lub inne obyczaje płciowe u zwierząt, których jedną z form jest stadło rodzicielskie, inaczej małżeńskie.

Poznanie tej dziedziny życia zwierząt oczywiście napotyka na wiele trudności i dalekim jest od wyczerpania. Zwyczaje płciowe zwierząt w niewoli jako przymusowe, wymuszone przez człowieka nie są miarodajne; spostrzeżenia zaś nad zwierzętami w stanie swobody z natury rzeczy są niepewne, dorywcze, pozbawione ciągłości.

Mówiąc o poligamizmie lub monogamizmie zwierząt, nie należy go rozumieć w znaczeniu ludzkim, które domyślnie zawiera w sobie pojęcie wierności małżeńskiej na ogół obcej światu zwierzęcemu. Stadła rodzicielskie powstają i rozwiązuje się u zwierząt bez wtrącania się w to mera, księdza lub sędziego. Samiec, który poskromił innych współzawodników w okresie wzmożenia się żądzy płciowej, póty korzysta ze zdobytych praw nad samicą, póki sam nie zostanie usuniętym przez sprężystszego od siebie. Od reguły tej nie są wolne nawet tak zwane *jednożenne stadła* zwierząt, przez które należy rozumieć przebywanie razem i powtarzanie aktów rozrodczych oraz wychowawczych w związku płciowym tej samej pary. Tylko wyjątkowo pośród niektórych ptaków można napotkać tak daleko posunięte skłonności monogamiczne, że rozłąka samca i samicy sprowadzić może śmierć z wynikłej stąd tęsknoty.

Ze wszystkich powyższych względów można uznać za bliższy rzeczywistości, dość odosobniony pogląd Schreibera, który wbrew Darwinowi mniema, że poligamja jest powszechnym zjawiskiem w świecie zwierzęcym.

W sensie wyłuszczonego wyżej zastrzeżenia przyrodnicy do monogamicznych zaliczają następujące gatunki zwierząt: gryzonie, zwierzęta owadożerne, zebry, żyrafy, łosie, wilki, lisy, szakale, tygrysy, leopardy, bizuny, człekokształtne małpy, gołębie, kaczki, gęsie, sinogarlice, wilgi, papugi. Poligamicznymi mają być: słonie, dzikie konie, lwy; z pośród małp: *Cebus capucinus*, wyjce, pawiany; z pletwonogich: foki, słonie morskie, lwy morskie; z ptaków: koguty, większość ptaków morskich, ptak rajski, kolibry, bażanty, pawie, strusie, dropie, bojowniki.

Ze strony przyrodników nie ograniczono się do rozpoznawania, które gatunki zwierząt są monogamiczne a które poligamiczne, usiłowano bowiem także wskazać, od czego zależy ta lub inna postać związków płciowych.

Roux wypowiedział pogląd, że ile razy dla jakiejbądź przyczyny zachodzi skupienie licznych osobników zwierzęcych w jednym miejscu tyle razy wytwarza się *promiskuizm*, to jest zachodzą bezładne związki płciowe. Ustanowiono regułę, że stadowa forma bytowania sprzyja powstaniu poligamicznych zwyczajów, odosobnione zaś bytowanie rozwija monogamiczne zwyczaje płciowe.

Darwin, Claus i Brehm ustanowili zasadę, że ile razy utrzymanie gatunku wymaga dużej pieczołowitości ochronno-żywicielskiej ze strony rodziców, tyle razy ma miejsce między rodzicami monogamiczny związek i wynikająca stąd mała liczebność. I m niedołężniejszym bywa nowonarodzone potomstwo i im dłużej trwa okres jego niedołęztwa, tym niezbędniejszą się staje i tym więcej przedłuża się usilna pieczowitość rodzicielska. Przykuwa ona do jednego miejsca w postaci gniazda parę rodzicielską tak długo, że następny okres wzmożonej żądzy płciowej zaskoczy ich i zastanie razem, co sprawi, że powtórzą akty rozpłodowe. Tą drogą powstają monogamiczne związki, cechujące się zwykle małą liczebnością potomstwa, lepiej zato zabezpieczonego od zagłady. Bezładne związki płciowe i poligamiczne, t. j. wielożenne wydają obfite potomstwo, monogamiczne zaś związki i poliandryczne, t. j. wielomężkie wydają małą ilość potomstwa.

Szczególnie wyraziście odnajdują się warunki dla powstania monogamizmu i miłości rodzicielskiej pod postacią ochronno - żywicielskiej troskliwości u ptaków. Wydają one małą liczbę potomstwa, potomstwo to niedołężne bywa przez kilka miesięcy: gatunki owe odznaczają się tedy monogamizmem związków rodzicielskich i ogromną troskliwością rodzicielską, gdyż wszystkie te objawy, współzależąc od siebie, tylko w połączeniu czynią zadość wymaganiu utrwalenia gatunku.

Toussenel utrzymuje nawet, że u ptaków uczucie ojcowskie, macierzyńskie i małżeńskie silniej jest rozwinięte niż u człowieka.

Postać życia ryb jest tego rodzaju, że tam natrafiamy na warunki, wytwarzające wręcz przeciwne ustosunkowania się. Niższe ryby zabezpieczają i utrwalają gatunek przez to, że składają niezliczone mnóstwo zapładnianych jaj, ażeby wynagrodzić ilością ubytek w jajach i młodym zarybku, wynikający stąd, że mnóstwo stworzeń wodnych jajami rybimi i zarybkiem się żywi. Ukrywanie jaj w gąszczach wodnych roślin lub drogą składania ich do wnętrza skorup muszlowych lub z rzadka w gniazda w nieznacznym tylko stopniu zapobiega masowej zagładzie rybich jaj. Zarybek drobny posiada pewne ochraniające go właściwości, jak np. szybki ruch, drobne wymiary, przezroczystość szklistą ciała, utrudniającą spostrzeżenie go w wodzie, ale to nie wystarcza do całkowitego zabezpieczenia go od prześladowcy. Wylęgaczem jaj rybich nie jest ciało macierzyńskie ryby, lecz żywioł pod postacią wody słodkiej lub morskiej, która im dostarcza wszystkiego, co do ich rozwoju bywa potrzebne.

To też w przeciwieństwie do ptaków, u ryb nie natrafiamy ani na monogamiczne, ani na poligamiczne trwałe związki rodzicielskie, lecz na dorywcze i bezładne; a troskliwości rodzicielskiej, będącej wyrazem miłości rodzicielskiej ani śladu.

Ciernik tym osobliwy, że strzeże gniazda z zapłodnionymi jajami: musi on odpędzać samicę od gniazda, ażeby zapobiec zjedzeniu jaj przez matkę.

Pośrednie objawy rodzicielskie pomiędzy tymi, jakie spostrzegamy u ptaków i niższych ryb, wykazują wyższe ryby, amfibje, gady, płazy. Pośredniość tych objawów odnosi się do ilości potomstwa, do stopnia nieudolności noworodków, do trwałości i pieczołowitości stadła rodzicielskiego, gdyż, jak już parokrotnie zaznaczyliśmy, wszystkie te objawy warunkują się wzajemnie i współzależą od siebie.

Ofiarność na rzecz stadła rodzicielskiego nie jest wyłączną własnością strony macierzyńskiej, choć najczęściej obarcza owa ofiarność tę właśnie stronę. Taki lub inny udział płci w trosce o potomstwo określają również okoliczności, trudne do poznania. Ofiar-

ność i troska na rzecz stadła rodzinnego ze strony samca, najczęściej ogranicza się do obrony go przed napaścią prześladowców. Samce łososia np. zakopują się bezustannie w piasek i tam ukryte, czatują na pstrągi, skradające się do jajek łososich. Można ustalić następującą normę: im bardziej samiec bywa namiętny i zazdrosny, tym gorliwszy bywa on i zarazem tym ofiarniejszy.

Ofiarność i trrskliwość o zabezpieczenie potomstwa wykazuje samiec ciernika, pławikonika, iglicy morskiej.

Troskliwość samcza u niektórych gatunków daleko jest posuniętą. Samiec u *Chromis paterfamilias* i u *Orthagoriseus mola* wylęgają zapłodnione jaja w pysku i gdy się te wylęgną, to chronią i karmią noworodków, trzymając je w pysku. Samce u *Arius Bookei*, u *Bagrus*, u *Dorichthys*, u *Stigmaphora* wylęgają ikrę w specjalnie na ten cel przeznaczonych kieszeniach, u wielu znów ptaków samce pomocniczo wysiadują jaja jak to np. spostrzec się daje u strusia.

Zdaje się być regułą, że wszędzie tam, gdzie piecza i ochrona potomstwa przerasta fizyczną możliwość samicy, tam samiec poczyna dzielić na równi z samicą trudy żywicielsko-ochronne potomstwa, bez czego utrwalenie gatunku byłoby zagrożone.

Przegląd przejawów miłosnych w świecie zwierzęcym, jaki zrobiliśmy i norm, rządzących tymi przejawami, nie jest wyłącznie zaspokojeniem ciekawości. Poznanie norm tych jest ułamkiem nauki o powszechnym życiu, w którego ramach i życie ludzkie się zawiera.

Normy, ustanowione w zakresie miłości płciowej i rodzicielskiej i wysnute ze stosunków, panujących w życiu zwierząt, jeżeli nie występują w życiu człowieka współczesnego w dobitny i wyrazisty sposób, to dlatego tylko, że liczne, wtórne czynniki kultury na normy te oddziałały, skomplikowały je i odchyliły od ich przyrodniczego pionu.

Na etykę płciową i rodzicielską człowieka wpływ swój wywarły takie czynniki, jak wojny, stosunki gospodarcze, powstanie i walka klas, religje. Nie bacząc na to, szkieletem normującym ukształtowanie się związków płciowych i rodzicielskich u człowieka były i pozostają te same prawa, jakie wysnuliśmy z układu stosunków życiowych u zwierząt.

Uwydatnić to jest łatwiej, przeglądając byt tak zwanego dzikiego człowieka na nizkim szczeblu kultury, gdzie otaczająca go przyroda stanowi jego środowisko bjologiczne, bezpośrednio warunkujące jego byt. Trudniej jest odsłonić to, przeglądając byt człowieka na wyższych szczeblach cywilizacji, gdzie środowisko społeczne z jego stosunkami staje się tym środowiskiem, które ów byt bezpośrednio warunkuje.

Czynnik syntetyczny w postaci przyrody oddziaływa wówczas przeważnie pośrednio za pomocą zapoczątkowanych i powołanych do życia wtórnych czynników rozwoju i przeobrażeń człowieka, jakimi są formy gospodarcze, techniczne wynalazki, wojny, stany, ustroje społeczne, religje, i t. p.

To też przegląd faktów i wysnute z nich normy, występujące w objawach miłości płciowej i rodzicielskiej zwierząt, rzucają światło na pewne przejawy kultury ludzkiej i upoważniają do pewnych socjologicznych wniosków.

Pozostałości rzeczowe po wymarłym człowieku przedhistorycznym nic nam nie mówią, jaką była etyka płciowa i rodzicielska pierwotnego człowieka. Niektóre, dziś żyjące szczepy dzikich znajdują się na tak nizkim poziomie kultury, jakie sobie tylko można wyobrazić. Do rzędu takich należy np. szczep Kubu w południowej Sumatrze, szczep Senoi na Malajskim półwyspie, lub Punan na Borneo i inne. Ani śladu religji lub sztuki, ani śladu organizacji społecznej prócz rodziny, a kosz pleciony i kij drewniany do wygrzebywania z ziemi jest ich całym dorobkiem cywilizacyjnym. Jest to jakiś rodzaj kultury, jakby z epoki drzewa. Stosunki płciowe, spostrzegane pośród tych szczepów, przybierają tę postać, że mężczyzna werbuje kobietę za pomocą prostego zgłoszenia swego życzenia, które zawsze wystarcza i rozstaje się z kobietą, kiedy zechce.

Zestawiając wszakże to, co wiedzieć można o bycie człowieka przedhistorycznego z bytem tych szczepów, nie można ich utożsamiać, przeto i etyka płciowa i rodzicielska tych szczepów bardzo zapewne się różni od etyki płciowej człowieka pierwotnego. Etyka ta prawdopodobnie była bliższa typu zwierzęcego. Zwalczywszy w pojedynku współzawodników lub odstraszywszy ich, mężczyzna—samiec werbował kobietę postrachem lub gwałtem, gdy się opierała, ogłuszywszy ją odpowiednio wymierzonym ciosem. Taką, mało sielankową formę werbunku spotykamy i dziś jeszcze u niektórych szczepów indjan Kanadyjskich, jak np. u Nenenotów z Labradoru i u Athapasków z nad zatoki Hudsońskiej. Pojedynek i porywanie kobiet jest regułą u tych szczepów.

Jest to zapewne prototyp etyki płciowej człowieka, będącej punktem wyjścia późniejszych przeobrażeń.

Indjanie, o których poprzednio była mowa, w swej etyce płciowej wcale nie są odosobnieni. Sporadycznie np. na Kaukazie werbunek kobiety odbywa się na drodze porywania, zastępując wtedy zwykły werbunek za pomocą kupna. Tam nawet, gdzie ustalił się werbunek kobiety za pomocą kupna, zachowały się ślady, dawniejszego werbunku za pomocą porywania. Ślady te zachowały się w obrzędach weselnych, polegające na wykonaniu teatralnego niby porwania. Tego rodzaju szczątkowe wzory zdobywania kobiety gwałtem, napotykamy dziś u fellachów, potomków, starożytnych Egipcjan i u niektórych koczujących Arabów. Poślubiona z towarzyszkami udaje strach i ucieka na pustynię, ażeby dać sposobność nowożeńcowi pojmać ją podczas pogoni, po stoczeniu uprzedniej walki, polegającej na obrzucaniu się kamieniami. Czerpiąc z danych etnografji i folkloru, możnaby przykłady tego rodzaju mnożyć, gdyby nie to, że dziesięć razy więcej przykładów nie dostarcza wcale dziesięć razy silniejszego dowodu. Jeden przykład typowy i charakterystyczny tyleż dowodzi, co dziesięć lub sto takich samych.

Pozostawiając na stronie niższe szczeble kultury a zwracając się do wyższych, nie trudnym jest i tu ujawnić te same ustosunkowanie się płci, jakie uwydatniliśmy, robiąc przegląd życia płciowego zwierząt.

Z chwilą, gdy kobieta przestaje ulegać mężczyźnie i chce być niepodzielną właścicielką i szafarką swej płci, czy to w związku małżeńskim czy też pozamałżeńskim, wówczas prawie zawsze następuje brutalizowanie kobiety przez mężczyznę, mężczyzna przybiera terrorystyczną postawę wzdlędem kobiety i nieraz dopuszcza się mordu na osobie żony, lub kochanki jak to się zwykło mówić „mord z zazdrości". Jeżeli sądy w mordzie tej kategorji a także w mordzie współzawodnika miłosnego upatrują łagodzące okoliczności, to objaśnia się to tym, że prawodawstwo odnośne, wytworzone przez mężczyzn, samo znajduje się pod naciskiem tych nastrojów, jakie ujawniliśmy, badając etykę płciową zwierząt.

(d. n.). *Alexy Kurcjusz.*

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

W kształt linji spiralnej.

Swego czasu zamieściłem w *Prawdzie* artykuł, p. t. „Włażą w swoje korzenie". gdzie zebrałem i objaśniłem niektóre przykłady zbłąkania się myśli współczesnej, zwłaszcza przesadne uwielbianie i nawiązywanie nietylko do przeszłych kultur, lecz wogóle do przeszłości i do stanów prymitywnych, co nas w konsekwencji musi doprowadzić do zazdroszczenia duszy krowie (Przybyszewskiego wstęp do poezji Schlafa), orangutanowi (France), do raju, w którym wanielimy się w błogosławione wymoczki.

Te popularne zresztą zapatrywania, tylko w przedłużeniu widoczne jako absurd, musiały nietylko mnie dać się we znaki, skoro niedawno temu pojawiły się (w lwowskich *Widnokręgach*, Nr. XIX) dwa artykuły o pokrewnej tendencji, jeden z zakresu literatury, drugi sztuk plastycznych. P. Tadeusz Dąbrowski w rzeczy p. t. „O polskim dramacie mitologicznym" z okazji pojawienia się dramatu Jerzego Remera „Walgierz Wdały" krytykuje cały pochodzący od Wyspiańskiego dramat prasłowiański, którego próbki dali nam oprócz Remera, Jadwiga Marcinowska, Maryla Wolska, Antoni Waśkowski, Edward Leszczyński. P. Bronisław Olszewski znowu w artykule „Sztuka dzisiejsza ma zbyt muzealny charakter" wykazuje pochodność i zależność twórczości malarzy i rzeźbiarzy współczesnych nawet Rodina, Burne Jonesa, Wyspiańskiego, Malczewskiego, Mehoffera, Stucka i innych od dawnych stylów i wzorów. Obaj autorzy, nagromadziwszy wiele pouczających przykładów i dowodów z techniki sztuki, stwierdzają: że sztuka dzisiejsza w przeważnej części zamiast wyrastać z istotnych potrzeb człowieka dzisiejszego natchnienia swego szuka w gotowych już formach sztuki przeszłości. Z artykułu p. Dąbrowskiego muszę tu podnieść tę trafną i ważną dla tego rodzaju badań myśl: że odrzuca on nietylko mechaniczne, naiwne uzupełnianie luk w przeszłości literackiej narodu według obcych wzorów (Woronicz) lecz także organiczne nawiązanie do zaniedbanych wątków własnej tradycji i świadome ich rozwijanie (Mickiewicz). Z artykułu p. O. notuję tę subtelną uwagę; że eklektyzm praktykowany dziś w sztuce plastycznej jest czymś więcej, niż proste naśladownictwo, że malarze pragną podpatrzyć dawnym sztukom ich zamierzone i niezamierzone efekty, że nawet znamiona przypadkowe i błędy, znalezione we wzorach, stają się źródłem nowych emocji artystycznych.

Obaj autorzy zachęcili mnie swoimi wywodami do przemyślenia kwestji „włażenia w korzenie" jeszcze raz z zasadniczych punktów widzenia.

Najprzód przypominam historykom literatury, że o dramat mitologiczny zaczął u nas pierwszy wołać „Strumień", bezpośredni następca „Życia" Przybyszewskiego. Wogóle w tym to „Strumieniu" znaleźć można dowody na to, że my naśladujemy już samo naśladowanie, że nawet pomysły do naśladownictwa i wzory czerpiemy od obcych, tak, że zagranica uczy nas nawet rodzimości i oryginalności. Cały słowiański dramat mitologiczny, jak stwierdza p. D., wypłynął po przez Wyspiańskiego z Wagnera; na sposób Rostanda, Maeterlincka i Hoffmansthala pisze się u nas sztuki już to greckie, już też w stylu prerafaelityzmu, gobelinów i krajobrazów á la Watteau. Pierwszym motywem psychologicznym tego podkładania gotowego wzoru pod twórczość jest radość z rozpoznania. Człowiek jaskiniowy cieszył się, gdy rozpoznał w jakichś gryzmołach mamuta albo topór, nasi pradziadowie z zapałem uprawiali sport robienia carminów, bo już samo powracanie tego samego dźwięku w rymach sprawiało im przyjemność; dzisiejszy filister, słuchając muzyki ogródkowej przy piwie, najwięcej dreszczów estetycznych ma wtedy, gdy w muzyce rozpoznaje szum burzy, plusk Wełtawy, róg pocztowy w lesie albo hałas bitwy, — dla snobów wyższego gatunku szablon do rozpoznawania musi być nieco trudniejszy i musi być sekretem pewnej grupy, jeżeli ma dawać emocję.

Takich emocji dostarczają rzadziej odkrywcy oryginalnych dróg piękna a częściej badacze, którzy w dziełach bliższej i dalszej przeszłości wykrywają ex post pewne cechy, prawa lub symptomy. I teraz zaczyna się zabawa: i snob receptywny i snob twórca czytali owego badacza krytyka, „twórca" stara się wpakować owe symptomy i prawa w swoje dzieło, snob rozpoznaje i kwituje pochwałą. Tak się ma rzecz np. z mechanicznym pakowaniem do dramatów greckiej Ananki (która zresztą, ani u Aischilosa ani u Sofoklesa wcale nie jest istotną ingredyencją, tylko uboczną naleciałością czasu). Może się jednak trafić artysta rzetelny, mistrz przetwórczości, który swe zadanie weźmie na serjo i będzie usiłował naśladować ukochany wzór od rdzenia, organicznie. Postąpi jak wyrafinowany fałszerz, któryby nie kopjował cudzego podpisu wprost, lecz wpierw wyuczył się cudzego pisma ze wszystkich dostępnych mu wzorów, aby potym podpis tej osoby oryginalnie sfałszować, bez patrzenia na wzór, nawet z tymi przypadkowymi wahaniami w stereotypie podpisu, po których to wahaniach właśnie znawcy poznają jego autentyczność. Takim naśladowcą i badaczem był opętany przez Szekspira Ludwig: chciał on pisać nowe szekspirowskie dramaty tak, jakby je pisał Szekspir, gdyby miał jego treści.

Tu znajdujemy wyraźnie nowy motyw twórczości przetwórczej; gotowe dzieło tak imponuje i owłada wyobraźnią, że staje się wzorem i celem, nie jest to już jednak proste plagiatowe naśladownictwo symptomów, lecz proces głębszy i bardziej organiczny. Chodzi tu o szlachetny eksperyment, by wcielić w siebie wszystko to, co jest pożądania godnym i tak urość, by przebyć szkołę, na której końcu ukaże się droga do własnej twórczości. Każdy adept sztuki przebywał dłużej lub krócej taką szkołę. A chociaż formalny postulat oryginalności jest niezbitym nakazem, z drugiej strony trudno zaprzeczyć artyście prawa, by się zasilał i wplatał w swoją twórczość wszystko, co uzna za zdobycz pierwszej jakości. I jeszcze jeden wzgląd każe tu nazwę naśladownictwa brać cum grano salis: każde dzieło nietylko sztuki po urodzeniu, przedstawia się inaczej, niż przed — nawet dla twórcy, ma swoją autonomję, swoją niespodzianą, odrębną fizjognomję i historję; stąd to, co twórcy wydało się błędem, może się później — jak trafnie zauważa p. Olszewski — wydać komuś urokiem. Otóż już samo spostrzeganie cech wzoru, ustalanie ich i wybór już są do pewnego stopnia twórczością. Dzieło gotowe jest wprawdzie z jednej strony jakąś przeróbką życia i z tego punktu musi być rozpatrywane przedewszystkim; z drugiej strony i ono jednak jest także nowym życiem, nową rzeczywistością, która może się tak samo jak każda inna stać przedmiotem przeżycia. Mówi się np przeżyć problemat Hamleta, Fausta itd. a p. R. Jaworski obiecuje nam „Hamleta II", może ciekawszego niż pierwszy, który jak wiemy z Hamletyzmem ma bardzo mało wspólności. Z tego widzimy, że nietylko pod względem subjektywnym, lecz i objektywnym sprawa naśladownictwa nie jest tak prosta. Poza dziedziną ordynarnego ale najczęstszego małpiarstwa, linja twórczości nie wraca wprost do tego samego punktu jako wzoru, ale przechodzi w jego pobliżu w kształt linji spiralnej.

Stosuje się to jeszcze bardziej do twórczości kul-

turalnej, która — jeżeli za człon pośredni przyjmiemy sztukę aktorską—opiera się na tych samych podstawach estetycznych, co wszelka sztuka. Holzapfel w „Panideale” zaliczył ją do „uneigentliche Künste”, które posługują się żywym materjałem (unvariirte Natur) ale jego zdaniem tylko wtedy taka twórczość jest sztuką, gdy jest tego świadomą. Nie zapuszczając się w polemikę przeciw H. lub za nim, przypomnę najprzód, że ostatni rozmach tego rodzaju twórczości pochodzi z czasów Russa. Jest dziś zwyczajem bagatelizować sobie pomysły Russa, jako, że są oparte na fikcji „człowieka abstrakcyjnego”, któremu się przeciwstawia „człowieka historycznego”, niby rzeczywistego — chociaż wątpić można, która fikcja jest pragmatycznie prawdziwszą. Także t. zw. racjonalizm jego i całej rewolucji francuskiej dziś razi — patrzymy z pobłażaniem na tę dobroduszną prostolinijność i wszyscy jesteśmy ostrożnymi iracjonalistami. Może jednak słuszność miał Ibsen mówiąc, że dziś żyjemy wszyscy okruchami ze stołu wielkiej rewolucji. I jeżeli nasz arcyiracjonalista, Brzozowski, w „Legendzie” powiada, że iracjonalizm posługuje się racjonalizmem, to zasadniczy ten błąd jest właśnie główną osią wszystkich jego błędów, gdyż rzecz się ma przeciwnie: racjonalizm posługuje się iracjonalizmem.

Tego porządku odwracać nie można. Lecz obszerną polemikę z Brzozowskim odkładam na kiedy indziej, tu wskażę tylko na przykłady, znane zresztą powszechnie, choć może nie w ten sposób interpretowane, aby zilustrować ów iracjonalizm. We wszystkich chodzi o uzupełnienie i wzmocnienie twórczości świadomej twórczością (?) nieświadomą, przez podsłuchanie już to jej celów już to sposobów. Obie te twórczości wspierając się rywalizują z sobą i wyprzedzają się wzajem, świadoma jednak ma zawsze górę, nawet — a zwłaszcza wtedy, gdy się na pozór poddała. Russowskie cofnięcie się do natury występuje i nadal, tylko że ta natura nie jest już przyjazną i dobrą, lecz jużto wrogą albo obojętną, już to złą albo głupią — lecz właśnie ta jej niższość i gorszość imponuje, staje się wzorem i celem, bożkiem niemal, który nosi nazwy „pierwotność” „instynkt” „żywiołowość” „bezpośredniość”. Objawów bezpośredniego władania tego bożka szuka się w przeszłości. A więc odczuliśmy nagle przynależność do rasy, jesteśmy nie Europejczykami lecz Aryjczykami, przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy Litwinami, a prof. Młynek przypomina nawet podobnie jak Lloyd George — że nasi chłopi a nasza szlachta to dwa różne plemiona. Podobną odmianą idei pierwotności stał się także lud, do którego tradycji nawiązywano (pieśni ludowe, zakopiańszczyzna), który jeszcze dziś jest idealnym modelem nawrotowym, rzekomo bezspornym (dla W. Tetmajera) pomimo, że go po trochę zaczyna rugować racjonalniejszy model robotnika. Podobny motyw nawrotności rządzi nacjonalizmem, czcicielstwem narzeczy, westchnieniami do żywiołowych ludzi renesansu i t. d. Wszystko to miewa charakter umyślnej reakcyjności, umyślnego spostponowania pierwiastka świadomego na rzecz pierwiastków nieznanych i ślepych — bożków, których w coraz to innej postaci wymyślała sobie, zapalona do iracjonalizmu odkrywcza twórczość racjonalizmu. Konsekwentnie musiała nastać faza, w której ogłoszono bankructwo rozumu i nauki. Przeciwstawieństwo pojęciowe między rozumem a uczuciem, myślą a czynem zaostrzyło się. Myśl ukorzyła się, zniżyła skurczyła — aby wleść w czyn. Znudziło się jej być samą sobą. „Jesteśmy tacy mądrzy, tacy przeanalizowani, usychamy z mądrości — ratunku! ratunku! Boże odrobinę głupoty!” wołali nasi bankruci rozumu z pod egidy Przybyszewskiego (uspokójcie się Panowie, nie jest z Wami tak źle!).

Umyślna nieumyślność, sztuczna naturalność — oto wykładniki, w którychby można dalej wyrażać charakter odbywającego się tu procesu. Przesycony on jest właśnie racjonalizmem nawskroś. Co pierwej było pospolitym, niewydzielonym z kompleksu faktów objawem, teraz stało się przedmiotem osobnej hodowli, przesady, paradoksu. Są np. takie objawy, że — jak u nas—chłop tak mądrzeje, iż sam staje się nawet chłopomanem lub udaje chłopa. Osławiony nacjonalizm czarnosecińców jest w znacznej części produktem rosyjskiej konsekwencji w doktrynach, doprowadzonym aż do cynizmu. Chce się przecież za wszelką cenę być „realnym” t. j. trzeźwym, rzeczywistym a choćby brutalnym i niemoralnym ale takim właśnie jak nieznane żywioły, które *są* i nie oglądają się na to, *jak* są. Podobny błąd logiczny, na mocy którego ludziom się wydaje, że większa prawda musi leżeć w pobliżu większego cierpienia — wywołuje złudę, że zwężenie ideału musi być koniecznie poznaką jego osiągalności. Stąd np. makiawelizm i bismarkizm polityków „realnych”, lekceważenie ruchów idealistycznych a ufność w bagnet; aprioryczna niewiara obustronna w możliwość pokojowego załagodzenia antogonizmów klasowych lub narodowościowych — natomiast powoływanie się na to, że to są procesy żywiołowe, zawierające w sobie nieodporny przymus, i rozbijanie sobie wzajemne łbów w imię tej żywiołowości.

(d. n.) *Karol Irzykowski.*

Gustaw Olechowski: **Rzeczy widziane.** S. Orgelbrand, Warszawa, 1911 r.

Nie można odmówić autorowi „Rzeczy widzianych” łatwości w pisaniu utworów literackich. Jego nowele mają płynność i lekkość odpowiednią dla rzeczy i sytuacji, które były *widziane*. Powiem nawet, że p. Olechowski rozporządza pewnym zasobem humoru, często modernizowanym na Marku Twainie, nie mniej jednak pogodnym. (Religja szczerości). Nie potrafi się jednak szczerze oburzać, tak, jak nie może zgryźliwie wyszydzać! Jest, co się nazywa człowiekiem, który przedewszystkim „nie lubi się przejmować”. Może to oznaczać, że spokój wewnętrzny autora jest rezultatem jego głębokich przeżyć — ale niemniej można przypuszczać pewien rodzaj martwoty duchowej, która nie odpowiada wołaniom wzniosłości. P. Olechowski w swojej książce występuje przedewszystkim jako człowiek pierwszorzędnie praktyczny i trzeźwy. Dlatego nie wątpię, że gdyby świat mógł być skonstruowany pod osobistym kierunkiem autora „Rzeczy widzianych”, nie byłoby żebraków i nędzarzy, ale mam przeświadczenie, że wówczas nowy stwórca nowego świata — jadałby codziennie świetne obiady i palił najdroższe cygara. Bo miłość siebie samego, jest tu silniejsza od miłości dobra ogólnego, a świat, widziany przez pryzmat osobistych przejść i sytuacji, najważniejszych jak zresztą u każdego człowieka-materjalisty, który do tego tylko przywiązuje najwyższą wartość, co sam osobiście przeżył. Stąd rzeczy *widziane* i nieodzowna w takich razach małostkowość wypadków, będących powodem tej lub tamtej noweli i pewna idealizacja uczciwości społecznej, — której niema w rzeczywistości, a którą autor chciałby widzieć (Potęga złota). Nie mniej jednak swoboda i niezaprzeczona lekkość tych utworów, a także rzeczywisty dowcip (Paradoksy) mimo gawędziarstwa dosyć przykrego, dają nowelom Olechowskiego pewien walor artystyczny. Szkoda tylko, że autor podróżując po Wschodzie nie przywiózł stamtąd więcej utworów o charakterze egzotycznym. To byłoby nierównie ciekawsze, niż rozpacz głodnego literata (Dusza w kiszkach) lub dzieje warszawskiej Aszantki — chociaż nowele te są bardzo dobre. Lecz widocznie p. Olechowski nie odczuwa tego pięknego, nieznanego u nas świata i woli pisać o ludziach, z których „nawet nie można zrobić dramatu”. *S. K.*

NA DOBIE.

Bohaterowie z pod Rydzyny.

Antoni hr. Wodzicki, który za 2 miljony marek pomógł rządowi pruskiemu wejść w posiadanie Rydzyny, uświetnia swoją osobą sesje Krakowskiej rady miejskiej, a nadto gra wybitną rolę w stronnictwie „prawicy narodowej”. Wspomniana prawica usiłuje w dalszym ciągu nie wiedzieć, co robi lewica hrabiego Antoniego, natomiast na jednym z ostatnich posiedzeń krakowskiej rady miejskiej, radca Daszyński zgłosił następujący wniosek:

„Wybiera się komisję, złożoną z prezydjum i przewodniczących sekcji, celem rozpatrzenia zarzutów, podniesionych przez r. Daszyńskiego przeciw r. hr. Antoniemu Wodzickiemu w sprawie majoratu rydzyńskiego”. Wniosek przyjęto i wolno się spodziewać, że jaśnie wielmożny sprzedawczyk otrzyma od krakowskiej rady symboliczne kopnięcie w plecy, co naród polski powita zgodnym aplauzem.

Ten giest karcący nie zmieni stanu rzeczy, Rydzyny nam nie odda, ale niechże przynajmniej wiedzą epigoni hrabiego, że opinja polska podobnych przestępstw biernie tolerować nie będzie i od słownych potępień potrafi przejść do czynnego protestu...

Lecz hr. Antoni Wodzicki miał kolegę, który mu wiernie sekundował w rydzyńskiej potrzebie: hr. Henryk Potocki należy tutaj do stronnictwa Polityki Realnej i „reprezentuje” nasze interesy w petersburskiej Radzie Państwa.

Mamy nadzieję, że zarówno gremium wyborców hrabiego Henryka, jak i stronnictwo Polityki Realnej nie czekając, aż ich przynagli do tego gromki głos opinji, wyświecą z pośród siebie drugiego bohatera z pod Rydzyny.

Obu tym panom, co to z taką precyzją wykonali część pierwszą nakazu Bismarka, rzuconego ongi w twarz Polakom — nic innego nie pozostaje, jak udać się do Monte Carlo i tam, na „jasnym brzegu” wypełnić ów testament do końca.

Ile kosztuje wojna i pokój?

P. Edmond Théry w jednym z ostatnich numerów *Matina* oblicza koszty dwuch niedawnych wojen anglo-burskiej i rosyjsko-japońskiej. Pierwsza kosztowała 6 miliardów franków i zakończyła się utworzeniem autonomicznej republiki południowo-afrykańskiej. Druga kosztowała 11 miljardów franków (6 — Rosję i 5 — Japonję) i prawie nie zmieniła granic politycznych walczących państw. Supremacja zaś ekonomiczna Japonji na Dalekim Wschodzie jest faktem, którego nieuznawać niepodobna. Bezstronny wyrok sądu rozjemczego w Hadze byłby dał Burom— autonomję, a Japończykom zapewnił przewagę ekonomiczną na Dalekim Wschodzie, gdyż ją tam wskutek swej przedsiębiorczości i korzystnej sytuacji geograficznej faktycznie mają. Wyrok taki zaoszczędziłby 300 tysięcy ludzkich istnień i 17 miljardów kapitału, doprowadzając do tych samych rezultatów, do jakich doprowadziły wojny. Niestety, dalecy jesteśmy od regulowania naszych własnych między-ludzkich spraw za pomocą rozumu, który z takim powodzeniem stosujemy do opanowywania natury.

Cudowna instytucja zbrojnego pokoju jest niemniej kosztowna. Od r. 1883-go do 1908 go Europa wydała na pokój zbrojny 145 — wyraźnie sto czterdzieści pięć — miljardów franków. I jeszcze cyfra ta nie obejmuje kosztów wojen anglo-burskiej, rosyjsko-japońskiej i hiszpańsko-amerykańskiej; nie obejmuje również kosztów linji kolejowych strategicznych, procentów i amortyzacji długów państwowych, zaciągniętych na cele militarne, jako też kosztów nieprodukcyjnego unieruchomienia czterech miljonów ludzi i koło miljona koni i mułów rocznie, taki jest bowiem ogólny bilans roczny „pokojowego” kontyngensu zbrojnego. Dług państwowy wzrósł w tym okresie ze 107 miljardów na 151, t. j. zwiększył się o 41 proc. Najsilniej wzrósł dług państwowy Niemiec (o 14 miljardów 557 miljonów franków) i Rosji (o 11 miljardów 101 miljonów fr.). Austrja zwiększyła swój dług państwowy o 4 miljardy, Włochy o 3 i pół. Francja, najbogatszy z krajów europejskich, zwiększyła swój dług tylko o 2 miljardy 412 miljonów franków.

Roczne „normalne” wydatki państw europejskich na cele militarne wzrosły w okresie 1883 — 1908 z 4-ch miljardów 111-tu miljonów franków na 7 miljardów 536 miljony. Prym w tej orgji wyrzucanych miljardów trzymają naturalnie Niemcy. W r. 1883-im niemiecki budżet wojny i marynarki wojennej wynosił 504 miljony franków, w r. 1908-ym — miljard 504 miljony franków (wzrost o 196 proc.); w Anglji odnośne cyfry wynoszą 702 miljony i miljard 487 miljonów (wzrost o 112 proc.); w Rosji — 891 miljony i miljard 511 miljonów (wzrost o 69 proc.); w Austrji— 318 i 529 miljonów (wzrost 66 proc.); we Włoszech 311 i 457 miljonów (wzrost o 47 proc.); — wreszcie 789 miljonów i miljard 100 miljonów we Francji (wzrost o 39 proc.)

Francja najoporniej idzie po drodze tego biegu do otchłani, lecz iść nią musi, gdyż, jak mówił jeszcze Kant w swej krytyce Czystego Rozumu: „niewątpliwie przyjdzie dzień, w którym powstaną Stany Zjednoczone Europy; lecz zanim nadejdzie ten wielki dzień, każdy naród będzie musiał trzymać rękę na rękojeści swej szabli; inaczej może zginąć przed nastaniem dnia”.

Literatki francuskie.

P. Benoist, wice-prezes Alliançe Francaise wygłosił 11-go b. m. niezmiernie zajmujący i doskonale opracowany odczyt o współczesnych literatkach francuskich. Literatura staje się zawodem dla kobiety w XIX-ym dopiero wieku, jednocześnie kobieta zwycięzko wkracza w dziedzinę czystej wiedzy i zdobywa w niej laury. Zawody wyzwolone: adwokatura, medycyna i t. d. stają przed nią również otworem. Prelegent dla zilustrowania tego procesu sypie, jak z rogu obfitości, nazwiskami, pomiędzy którymi są i polskie (Skłodowska, powieściopisarka Poradowska, poetka Krysińska). Charakterystyki literatek i poetek prelegent przeplata deklamacją celniejszych wyjątków z ich dzieł. Wreszcie przytoczywszy zdanie pani Madeleine Pelletier, że kobieta jest zupełnie równą mężczyźnie, a macierzyństwo i miłość są w życiu jej epizodami, które nie przeszkadzają oddawaniu się tym samym pracom, co i mężczyźni — prelegent wypowiada swój własny pogląd na kobietę, jako na istotę podporządkowaną (subordonnée) mężczyźnie...

Trudno było zebrać więcej materjału, trudno było go umiejętniej opracować i bardziej artystycznie wygłosić, aby.. obalić swój własny pogląd.

Następny odczyt francuski odbędzie się również w sali Techników, do 29 go b. m., w niedzielę o g. 6-ej po południu. Mówić będzie p. Main, o piosence francuskiej w XVI i XVII-ym wiekach.

POD ŚWIATŁO.

Urbi et orbi.

W bieżącym miesiącu pani Curie-Skłodowska, jeden z najwybitniejszych umysłów nauki współczesnej postawiła swoją kandydaturę do Akademji umiejętności

w Paryżu. I to najświatlejsze ciało naukowe na świecie wydało większością głosów rezolucję, że kobieta nie może być do Akademji przyjęta. W Instytucie nigdy kobiet nie było, a więc i nigdy ich tam nie będzie, głosi światła uchwała.

— Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie równocześnie usłyszeliśmy tu, nad Wisłą, jakby drobne echo Nadsekwańskich obrad, w postaci odczytu, wygłoszonego także przez Francuza, pana Benoist wice-prezesa „Alliance française".

— Nasz Kobiecy majestat obrażony nieustannym ograniczaniem go do czterech *k* (kuchnia, kądziel, kołyska i kościół) i wskazywaniem poświęcenia się dla mężczyzny jako ideału, wydaje, w odpowiedzi silniejszej połowie rodzaju ludzkiego następujący uniwersał:

My, z woli przedwiecznego Chaosu, Kobieta i władczyni wszystkich mężczyzn, bogini ich serc, nieśmiertelna żądza ich ciał, wiadomo czynimy wiernym wyznawcom naszym:

Mówicie, o wyznawcy nasi, że szczytem doskonałości jest poświęcenie, zaparcie się, ofiara, i że te właśnie cnoty są najwyższą godnością i zaszczytem istoty ludzkiej na ziemi; za ich pełnienie uczyniliście kobietę Królową waszą.

Zgadzamy się z tym najzupełniej i za uznanie wdzięczność wyrażamy. — W nieustającej pieczy o dobro drogich nam poddanych, i ażeby dowieść do jakiego stopnia rzeczywiście cnota poświęcenia u nas doszła, niniejszem, urbi et orbi obwieszczamy:

Dobrowolnie i radośnie zrzekamy się na korzyść waszą najzaszczytuiejszych swych stanowisk. Wejdźcie na piedestały moralności, cnoty, poświęcenia, a my zajmiemy wasze skromne i upośledzone stanowiska. — Po nocach spędzonych nad zielonym stolikiem, po sutych kolacjach spożywanych w kabaretach, po gorących uściskach z wybranymi... przyjdziemy was podziwiać:

Oto czyści i święci kapłani ognisk domowych, strażnicy moralności i podstawy narodu: rodziny. Cześć im i chwała!

A kiedy po kilku, czy kilkunastu latach takiego życia uczujemy strzykanie w krzyżu i różne inne dolegliwości... pozwolimy się wam pielęgnować.

A wtedy jakże cnota i umartwienie wasze wynagrodzone zostaną! Co za chwała co za honor poświęcać się dla nas i z anielską słodyczą koić nasze cierpienia, tak zaszczytnie na „polu chwały" nabyte!

Żywimy nadzieję, że bohaterski nasz czyn oddania wam bezinteresownie zaszczytnych stanowisk naszych — napełni was szczęściem bez granic i raz na zawsze, dręczącą was „kwestję kobiecą" zakończy.

Jest bowiem dowód już nieodparty, najwyższy i ostateczny, naszego dla was poświęcenia i który wszelkie poświęcenia dalsze uczyni zgoła zbytecznymi, zmieniając do gruntu układ stosunków na świecie.

— Od składania dziękczynień i hołdów za otrzymane dobrodziejstwo łaskawie was zwalniamy.

Dan w centrum Europy, roku Pańskiego 1911-stego.

Na oryginale podpisano: K o b i e t a.

Jadwiga Olszewska.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Referat inż. A. Wolskiego o „meteorologji przemysłowej", odczytany na sobotnim posiedzeniu Tow. przemysłowców, zasługuje na baczną uwagę, ze względu na doniosłość poruszonej w nim sprawy sanacji naszego przemysłu. Zestawienie bowiem wytwórczości Królestwa z wytwórczością Rosji wykazuje tę smutną rzeczywistość, że Rosja postępuje naprzód znacznie szybciej, dystansuje nas i pozostawia w tyle.

Na ten niepokojący objaw zwraca uwagę *Gazeta Warszawska* w art. *Rozwój przemysłu w Europie, Rosji i Polsce*, dodając:

> Obok tego smutnego stanu faktycznego postawić należy wrogie nam tendencje prawno-polityczne. Wszechrosyjski zjazd gorzelników uchwalił strarać się o zmianę taryfy kolejowej na szkodę naszego gorzelnictwa. Władze nie udzielają koncesji na nowe gorzelnie. Syndykat metalurgiczny gotuje już akcję zaborczą względem Królestwa. Przy najbliższym przesileniu Królestwo ma być traktowane jako rynek eksportowy, dla którego ceny będą zniżone aż do zniszczenia konkurentów. Belki żelazne rosyjskie zdobywają na tych zasadach rynek Królestwa już dzisiaj. Wytwórczość tych belek w Królestwie schodzi do zera.
>
> Wobec takiej sytuacji przemysłowcy Królestwa stoją bezradni, bez świadomości niebezpieczeństwa, bez organizacji, bez środków do walki. Okręgi południowe rosyjskie rozwijają się z roku na rok, doskonalą swe organizacje przemysłowe, prowadzą własne statystyki, na zjazdy przyjeżdżają z materjałem faktycznym, przytłaczają cyframi, dowodami i wnioski swoje przeprowadzają. I zdobywają to pracą i nakładami. Budżet Rady Związku w Petersburgu wynosi 132,000 rb. Budżet Rady Zjazdu górniczego w Charkowie wynosi 800,000 rb.
>
> Nasze Tow. przemysłowców nie może się zdobyć na budżet 30,000 rb. Wszyscy swoimi tylko sprawami zajęci, do akcji wspólnej mało komu się spieszy. „Każdy sobie rzepkę skrobie", póki burza nie przyjdzie, by zwykłą śpiewkę odśpiewać: „Mądry Polak po szkodzie".

Poruszona w ten sposób kwestja stawia nas ponownie „u źródeł zła", wskazanych w Nr. 51 naszego pisma z r. z. „Źródłami zła" są luki w naszym życiu ekonomicznym, nizki stopień zamożności i zacofanie co do środków organizacji i techniki wytwórczej. Nazbyt już długo różne programy i miraże polityczne przesłaniały nam tę naistotniejszą i stałą dolegliwość; nazbyt długo poglądy krańcowe i dociekania teoretyczne skłaniały opinję naszą do lekceważenia tej sprawy dobrobytu narodowego; dziś jest ona na pierwszym planie i domaga się względów należnych.

„Niepodobna — pisaliśmy wówczas — być maruderem życia bez najgorszych dla siebie następstw. Potrzeba nam czynu. Nie tego, o którym śnią w tęczowych snach poeci; potrzeba nam *czynnej prozy życia*. Będzie nią ekonomiczne i społeczne podźwignięcie kraju przez intesywny rozwój nietylko wielkiego przemysłu i handlu, lecz nadewszystko przez pobudzony zmysł współpracy, przez technikę zrzeszeń, przez praktykę powszechną samopomocy. Idzie o to, żeby nie zostać w tyle za innymi w nieustającym doborze środków, w szybkim doskonaleniu techniki życiowej"...

Na polu organizacji przemysłu, jak i w innych dziedzinach życia zbiorowego, zdradzamy nazbyt wiele zacofańczej rutyny. Odczuły to nawet sfery, skądinąd bardzo nieskore do propagowania postępu, ale w tym wypadku zdające sobie sprawę z niebezpieczeństwa zastoju, co im należy poczytać za niemałą zasługę.

* Niejednokrotnie pismo nasze, omawiając minione wypadki, kładło nacisk na fatalną rolę, jaką odegrał wygórowany motyw walki klas w chwili decydują-

cej. Jak się dziś okazuje — co zresztą nie jest niespodzianką dla nikogo — obok zupełnie błędnej i szkodliwej metody stronnictw skrajnych, zaważyły na szali w znacznym stopniu manewry taktyczne ówczesnego rządu, obliczone właśnie na sukces metod skrajnej lewicy.

Żadnych w tej mierze nie zostawia wątpliwości wydana niedawno książka p. t. *Rezultaty rewolucji r. 1905 i rząd Nosaria* przez niejakiego A. Morskiego napisana, w gruncie rzeczy jednak będąca dziełem hr. Sergjusza Wittego, ówczesnego premjera...

Na podstawie tych rewelacji, *Goniec* w art. *Z niedawnej przeszłości* temi słowy charakteryzuje działalność tego wybitnego męża stanu:

W rezultacie zwrócono się do hr. Wittego z propozycją, aby zjednoczył pod swym kierunkiem działalność ministerjum na zasadach, wyłożonych przezeń w złożonym jednocześnie memorjale.

Ale sam hr. Witte uważał sytuację za bardzo poważną. Rodziła się „rewolucja społeczna“, wojska zaś były na Syberji i w nich zresztą rozpoczynał się ferment. Rząd nie mógł rozpoczynać tłumienia rewolucji przy pomocy starych szablonowych recept. Potrzebna była nowa metoda walki. Tę to właśnie „nową metodę“ opisuje dokładnie po raz pierwszy autor książki. Według jego rewelacji, „sekret zbawienia Rosji“, o którym przed paru laty dużo bardzo mówiono, polegał na rozszczepieniu rewolucji na polityczną i na społeczną, oraz na podniecenìu i zaostrzeniu walki klas. Cel ten został osiągnięty za pomocą manifestu 30 października i dzięki grubym błędom, popełnionym przez „radę delegatów robotniczych“.

To wszystko jest bardzo prawdopodobne i naogół należy przyznać, że „sekret zbawienia Rosji“ nie był trudny do odgadnięcia.

Dziś na swój sposób sposób stosują go monarchiści i klerykali w Portugalji, gorliwie usiłując „rozszczepić rewolucję na polityczną i na społeczną“ oraz „podniecić walkę klas“. Można przypuszczać, że tym razem „sekret“ będzie w porę odgadnięty i manewr spełznie na niczym: oczywiście, nas dotyczy to bardzo niewiele.. Bądź co bądź jednak winniśmy z uwagą śledzić przebieg portugalskich przesileń i wyciągnąć z nich, w charakterze widzów, odpowiednie nauki i wnioski.

* W *Kurjerze Porannym* w art. *Stare i nowe ziemiaństwo* p. I. Moszczeńska podkreśla znaczenie dokonanych i dokonywanych obecnie przemian, które sprawiają, że wyrazem „ziemiaństwo“ zaczniemy niebawem określać inny niż dotychczas typ społeczny. Parcelacja większych i średnich majątków ziemskich postępuje z błyskawiczną szybkością, a współcześnie rośnie znaczenie żywiołu ludowego.

Śmiało można powiedzieć, że dziś lud wiejski stanowi nietylko najliczniejszą, lecz i najważniejszą klasę narodu, bowiem najsilniej jest z krajem i ziemią związany, a im bardziej materjalnie niezależnym się staje, tym pewniej z czasem swoje piętno na całym rozwoju naszych wewnętrznych stosunków wyciśnie. Stąd to już nie w myśl tej lub owej doktryny politycznej, lecz z ogólno-narodowego punktu widzenia interesem najwyższej wagi dla wszystkich klas społecznych jest kulturalny rozwój mas chłopskich, a tak zwany ruch ludowy najdonioślejszym i najdalej w przyszłość sięgającym prądem społecznym. Jeżeli masy chłopskie będą ciemne, wynędzniałe, fanatyczne, zaniedbane — kraj będzie pogrążony w reakcji i zastoju; jeżeli wśród nich wzrośnie dobrobyt i oświata, kultura polska rozwijać się będzie.

Oświata jednak w sferach ludowych wzrasta w tempie bardzo powolnym. Składa się na to, obok zajadłego przeciwdziałania kleru, taktyka rządu, stale odrzucającego podania o zakładanie szkół ludowych. Musimy zatym uzbroić się w cierpliwość i wytrwałość, i otaczać tym większą pieczą owe nieliczne oazy inteligencji chłopskiej, skąd idzie powiew czynnego życia na przestrzenie, dotąd leżące odłogiem.

* Jak wiadomo, wszyscy biskupi w Królestwie wydali niedawno rozporządzenie, zabraniające księżom uczęszczać do kabaretów, cyrków i... *teatrów.*

Trudno mieć za złe władzom djecezalnym, że traktują podległe sobie osoby duchowne, jak my traktujemy żaków i pensjonarki. Dziwić się tylko należy, że ci sami księża, do których stosuje się taki poniżający rygor, uchodzą wciąż za kompetentnych duchowych przewodników narodu. Widnokrąg ich umysłowy, tak nadmiernie zacieśniony i spaczony wychowaniem teologicznym i lekturą nader jednostronnie dobraną, traci obecnie do reszty kontakt ze współczesną narodową kulturą świecką.

Gorszono się w pewnych sferach naszą propagandą antyklerykalną; a przecież każdy przyzna, że niepodobna zgodzić się na przemożny w społecz. wpływ księży, traktowanych przez własną zwierzchność, jak dzieci i systematycznie odgradzanych od wszystkiego, co stanowi rdzeń kultury narodowej. Na domiar, niektóre świętobliwe organy, w przesadnej zapewne gorliwości, pragną zmusić cały ogół wierzących katolików do czynnego bojkotowania teatrów. *Przegląd Katolicki* powiada:

Zadaliśmy sobie trud przeglądania w ciągu miesiąca afisza teatrów warszawskich: nie wyłączając Wielkiego i Rozmaitości: zaledwie kilka sztuk z kilkudziesięciu było zupełnie przyzwoitych, i to były rzeczy z przed pół wieku i więcej.

W takich warunkach, co, pytam, ma powiedzieć spowiednik penitence, pytającej go, czy może z czystym sumieniem uczęszczać do teatru? Czy niema obowiązku odradzać jej rozrywki, wyjątkowo tylko nie przedstawiającej niebezpieczeństwa dla duszy? Ale bywają przecie i moralne. Bywają, a nawet, choć rzadko, bywają i między nowymi utworami: tylko jak je poznać? Jak się naprzód przekonać o ich moralności? I wiele osób zadaje sobie ten trud? A wobec tego, czy nie słuszniej powiedzieć, że w teatrze w Warszawie niema miejsca dla chrześcijan, chyba w zupełnie wyjątkowych wypadkach.

A więc odtąd w teatrach spotykać będziemy wyłącznie pogan, ateuszów i bezreligijnych żydów (bowiem żydzi pobożni nie uczęszczają na widowiska na skutek analogicznych zupełnie zakazów rabinatu)...

Kampanja przeciwteatralna ze strony kleru, na szczęście, wywołała protest *Kurjera Warszawskiego.* Popularny ten organ milczał grzecznie i potulnie, gdy kler przypuszczał szturmy do szkół ludowych, głosił bojkot pożytecznych instytucji, szkalował ludzi uczynnych, manifestował wrogość swą i odrazę do drogich sercu polskiemu wspomnień, obchodów i uroczystości... Ale skoro tylko gorliwość katolicka wejrzała w świat kulis i kinkietów, *Kurjer Warszawski* obudził się, jak lew i przemówił lwim głosem z niezwykłą swadą, jak świadczy następujący ustęp:

teatr zbyt głęboko zapuścił korzenie w życiu towarzyskim całej cywilizowanej ludzkości, aby jakakolwiek propaganda przeciwteatralna mogła go usunąć i zniszczyć. Jeżeli zaś chodzi tylko o walkę z pewnymi zboczeniami tej instytucji, to trudno zrozumieć, w jaki sposób mają pouczać, kierować i ostrzegać swoje owieczki ci właśnie, którym zabroniono przestępować progów choćby najpoważniejszego przybytku sztuki scenicznej i którzy wskutek tego nie mogą być zorjentowani w jej działalności i w jej charakterze.

Można przypuszczać, że głos *Kurjera* odstraszy nazbyt gorliwych teologów od dalszych wycieczek w stronę placu Teatralnego. Byłby to zatym krok niezwykle udatny w szeregu wystąpień tego pisma.

Z prasy rosyjskiej.

* *Szkoła średnia i jej polityka.* Ostatni zeszyt miesięcznika *Sowremiennyj Mir*, charakteryzując braki współczesnej polityki szkolnej oraz systemu wychowawczego, przytacza za raportami najpoddańszymi ministra oświaty zadziwiające dane o liczbie uczniów, relegowa-

nych ze szkół średnich. Za przeciąg czasu od 1903 do 1907 r., t. j. w ciągu pięciu lat, z męskich i żeńskich gimnazjów, ze szkół realnych oraz seminarjów duchownych relegowano 17, 313 uczniów. Przeciętna liczba roczna uczniów relegawanych wynosi 3, 500.

„Ta olbrzymia liczba wypędzonej z murów szkoły średniej młodzieży — pisze *Rannieje Utro* — nie może nie budzić trwogi w społeczeństwie. Wobec ograniczonej liczby szkół średnich, oraz wobec ogromnego napływu pragnących się do szkół tych dostać, jest to zbyt wielka ofiara, złożona na ołtarzu stosowanej obecnie polityki szkolnej. Z tych samych źródeł urzędowych, z których korzystał autor artykułu, wynika, że tylko 2 proc. relegowanych było uczniów niezdolnych. Cała pozostała masa relegowanych jest ofiarą wykroczeń przeciw dyscyplinie szkolnej. Przytym olbrzymia większość relegowanych, około 15,000, przypada na okres czasu od 1905 do 1907 roku, kiedy to wypadki polityczne wywarły również wpływ na życie szkoły średniej, zakłóciwszy jej bieg spokojny. Reakcja polityczna wkroczyła również do szkoły średniej, gdzie dla przywrócenia porządku i dyscypliny zastosowano system zbyt ostry, który wywołał w wielu miejscowościach wrzenie wśród młodzieży, oraz spowodował masowe relegowanie młodzieży.

„Ostatecznie — mówi dalej *Rannieje Utro*" — polityka nadmiernej surowości niezbyt wielkie usługi oddała sprawie przywrócenia porządku, lecz wygnała tysiące młodzieńców ze środowiska szkolnego i zamknęła im drogę do dalszej nauki. Były wypadki, że najbardziej powszednie zajścia w szkole powodowały zamknięcie zakładów szkolnych, całych klas oraz relegowanie setek uczniów. Ministerjum oświaty zmuszone było hamować gorliwość władz miejskich i wyjaśniać, że zamykanie klas i całych zakładów naukowych wykracza poza ramy ich kompetencji i pełnomocnictw. Autor tegoż artykułu w miesięczniku *Sowremiennyj Mir*, pomiędzy innemi, podaje dane, że w ciągu tylko jednego (ubiegłego) roku szkolego w życiu szkół średnich wydarzyło się 12 wypadków o charakterze kryminajnym: 5 wypadków pobicia nauczycieli przez uczniów oraz 7 wypadków zamachu ucznia na nauczyciela".

Wszystkie przytoczone fakty, zdaniem gazety *Rannieje Utro*, najlepiej przekonywują o konieczności gruntownej sanacji stosunków szkolnych".

Przeciwko obecnej gospodarce oświatowej, sankcjonowanej przez zapalczywą ślepotę Puryszkiewiczów, poczynają już rozlegać się głosy ze strony umiarkowanej, rozsądniejszej prawicy, ktora pojmuje, że walka z żywiołami reformistycznymi w państwie, wcześniej lub później doprowadzić musi Rosję do ruiny, a ucisk kresów jest rozsadnikiem miazmatów gnicia na całym obszarze społeczeństwa. Oto p. Durnowo, konserwatysta którego o przyjaźń ani dla obcoplemieńców, ani dla postępowców posądzać niepodobna, omawiając w *Peters. wiedom.* stosunek nacjonalizmu państwowego do szkoły, zwłasza początkowej ostro uderza na fanatyzm obłąkanych zoologicznym patrjotyzmem centralistów. Wyraża natomiast zadowolenie, że nie udało się skrajnej prawicy usunąć zupełnie języków krajowych mieszkańców ze szkoły elementarnej. „W Dumie — powiada — znalazło się więcej ludzi zdrowo myślących, niż takich, ktorzy drogą fałszu i nadużycia siły uważają za możliwe nie tyle uczyć inoplemieńców języka rosyjskiego, ile stwarzać z nich ciemnych idjotów niby dla dobra naszej (rosyjskiej) kultury i narodowości". A dalej powiada znów p. D:

„Nie należy zapominać, iż Rosja otoczona jest przez wrogów, że wypadnie jej porachować się ze światem islamu i pogańskim, że wreszcie posiada ona przeszło 42 proc. obcych narodowości, przeciwko którym teraz występujemy jawnie, chcąc im odebrać język i gwałtem przemienić na rosjan. Dokonać tego ani teraz, ani w przeciągu stuleci nie zdołamy, albowiem, skoro tylko ludy zdecydowały się bronić swej indywidualności, to ją bronią, czego najlepszym przykładem kraje austrjacko-węgierskie".

KRONIKA.

LITEWSKI STAN POSIADANIA. Pismo litewskió *Visuomené* podaje w opracowaniu T. Wróblewskiego dane statytyczne o litewskiej własności ziemskiej. Według tych danych, ogólny obszar ziemi, będącej w posiadaniu Litwinów w gub. kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej, wynosi 2,434,466 dzies. Własność ziemska litewska znajduje się w zwartej przestrzeni przestrzeni we wszystkich siedmiu powiatach gub. wileńskiej (wileńskim, święciańskim, trockim, lidzkim i oszmiańskim) i sporadycznie w pow. dziśnieńskim (2,492 dzies.), tejże gub. w pow. grodzieńskim (5,034 dzies.), słonimskim (1,024 dzies.), kobryńskim (817 dzies.) i wołkowyskim (23 d.) gub. grodzieńskiej. Wśród prywatnej własności ziemskiej, litewska stanowi $^4/_5$ w pow. wiłkomirskim, około $^3/_5$ w poniewieskim i telszewskim $^1/_2$ w szawelskim, rosieńskim i trockim, przeczło $^3/_5$ w jeziorowskim i kowieńskim, przeszło $^1/_4$ w wileńskim i święciańckim, przeszło $^3/_{20}$ w lidzkim, nieco więcej $^1/_{20}$ w oszmiańskim. Litewskie grunty udziałowe w katogorji własności udziałowej wynoszą w 6 powiatach gub. kowieńskiej więcej niż 90 proc. w powiecie trockim przeszło 80 proc. jeziorowskim 65 proc. wileńskim przeszło 50 proc. święciańskim przeszło 46 proc. lidzkim 25 proc. w pozostałych mniej niż 10 proc. Gospodarstwa litewskie są przeważnie drobne, przyczym w ręku ludności niewłościańskiej jest nie więcej nad 20 proc. ogólnej przestrzeni litewskiej własności ziemskiej. Przestrzeń gospodarstwa ukazowego wynosi średnio 12,1 dzies., a gospodarstwa folwarcznego 21,8 d. Wszystkich gospodarstw litewskich jest około 170,000, posiadaczów średniej własności (od 60 — 150 dzies.) około 1500 i posiadaczów większej własności — 128.

KOLONIZACJA NIEMIECKA. Gubernje Nadbałtyckie uchodzą powszechnie w opinji ogółu za wybitnie niemieckie. Rzeczą ciekawą będzie zajrzeć do źródeł statystycznych, wykazujących w ścisłych cyfrach stosunek procentowy zamieszkałych tam Niemców wobec ludności tubylczej. Świeżo właśnie w *Mosk. wied.* na podstawie dokumentów urzędowych cyfry takie przytacza p. Wołyniec. Okazuje się z nich, że żywioł niemiecki w gubernjach: Inflanckiej. Kurlandzkiej i Estladzkiej waha się w rozmiarach od 5 proc. do 7 proc. wstosunku do całej ludności miejscowej, w najkorzystniejszych zaś wypadkach nie przerasta 7,7 proc. Jak z tablic urzędowych widać, liczba przybyszów germańskich jest niewspółmiernie nizka wobec wysokiej roli społecznej i politycznej, jaką grają w kraju. Warto też zauważyć, że jest procentowo o wiele mniejsza od liczby Polaków zamieszkałych w t. zw. kraju zachodnim, któremu też seme dokumenta urzędowe tak zawzięcie odmawiają charakteru polskiego.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół prywatnych polskich od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego.

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10' T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J, Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb.3, G. Weker rb. 3, J. Woroszyłło kop. 50 A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, L. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1, L. Prokopowicz kop. 50, Czaykowski rb.1 Ogółem rb. 49.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P-nu W. Nadesłany nam utwór dla błahej treści i nieudolnej formy drukowany nie będzie.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: O żelaznym wilku, przez Leona Goreckiego. — ODCINEK: Szkice miejskie przez Leona Choromańskiego. — Nowy prąd ideologji narodowej, przez d-ra Leona Biegeleisena. — Związki zawodowe a partje polityczne i tendencje syndykalne, przez Jerzego Kurnatowskiego. (dok.)—„Lutosławskjada", przez Szpona. — BADANIA NAUKOWE: Miłość płciowa i rodzicielska w przyrodzie, przez Alexego Kurcjusza. — KRYTYKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA: W kształt linji spiralnej, przez Karola Irzykowskiego. — Gustaw Olechowski: Rzeczy widziane, przez S. K. — NA DOBIE: Bohaterowie z pod Rydzyny. — Ile kosztuje wojna i pokój? — Literatki francuskie. — POD ŚWIATŁO: Urbi et orbi, przez Jadwigę Olszewską. — PRASY: Z prasy polskiej. — Z prasy rosyjskiej. — Kronika.— Ofiary. — Odpowiedzi Redakcji. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.